Należytość pocztową opłacono ryczałtem

cena 25 gr.
nr. 17
5. V. 1935
LWÓW

NOWE CZASY

Sprawa pracy

W całej logice dzisiejszego porządku społeczno-gosp. i kulturalnego, a jednocześnie w pojęciu dziś panującej ideologji — tak mieszczańskiej ,jak i robotniczej — praca nie jest połączona wewnętrznemi węzłami ze swym przedmiotem, z produktem, — jest odeń moralnie oderwana... Praca pojmowana jest jako środek... zarobienia, zrobienia interesu, jest sposobem zdobycia środków w celu spożywania, a dalej używania; celem jej jest rzecz z zewnątrz przychodząca: zapłata lub zysk, a nie sam produkt. — **Adam Skwarczyński.**

Organy prywaty w Polsce prowadzą w dalszym ciągu demagogiczną kampanję przeciw pracy i pracownikom publicznym. „Czas“ wystąpił ostatnio z nową rewelacją statystycznie - senzacyjną: jak to państwo i samorządy „pochłaniają“ *połowę* całego dochodu społecznego, to jest całe cztery miljardy; jak to „na głowę ludności wypada *133 zł.*“, wówczas, gdy „przeciętny dochód funkcjonarjuszów państwowych wynosi rocznie *3,136 zł.*“; i jak to wreszcie 600 tysięcy pracowników publicznych *zaliczając wojsko* (tydzień przedtem obliczał sobie „Czas“ tych samych pracowników na miljon dwieście tysięcy) a z rodzinami okrągło *dwa miljony* osób żyjących „z budżetów publicznych“ *zabiera z dochodu społecznego cztery miljardy* pozostawiając całej reszcie ludności t. j. *30 miljonom — również cztery miljardy.*

A więc *jeden* pracownik publiczny zabiera z dochodu społecznego tyle, co *piętnastu* pracowników prywatnych.

Niesumienność i bzdurność tych igraszek statystycznych jest tak jasna, że może być niewidoczną tylko dla bardzo mało krytycznego czytelnika.

Gdy budżet państwowy „przekracza 25% ogólnego dochodu społecznego“ (2,133 miljonów) *to wcale nie znaczy*, że państwo „pochłania“ czy zabiera czwartą część dochodu społecznego, i to nawet wtedy, gdybyśmy uważali wpływy podatkowe za część dochodu społ., albowiem wpływy podatkowe są tylko częścią dochodów skarbu państwa. Nasz budżet państwowy wynosi 2,133 miljonów, ale tylko *mniej, niż połowa* z tego *(937 miljonów)* przypada „na płace i różne świadczenia osobowe“, jeśli zaś odliczymy pensje pracowników przedsiębiorstw państwowych, kolei, monopoli i t. d., *które nie inaczej niż przedsiębiorstwa prywatne wytwarzają dochód społeczny* — to staniemy wobec sumy około *600 miljonów złotych* (z rentami i emeryturami), które „zjadają“ pracownicy państwowi.

Budżety państwa, samorządów może i wynoszą cztery miljardy, ale wydatki na płace nie wynoszą połowy tych budżetów — a pomijając pracowników przedsiębiorstw państwowych i komunalnych — stanowią *około miljarda złotych rocznie.*

Jakże więc można głosić, że połowę dochodu społecznego zjada państwo i samorządy dwumiljonową gębą rodzin swych pracowników!?

Dochód społeczny w Polsce jest rozpaczliwie niski, wynosi jednak licząc „na głowę ludności“ *nie 133 zł.*, jak się podoba statyście z „Czasu“, *ale 250 zł.* (8 miljardów na 32 miljonów ludności), licząc zaś „iż na każdego zarabiającego przypadają 3 osoby, otrzymamy na rodzinę 1000 zł. rocznie „wobec 3136 zł. przypadających przeciętnie na rodzinę (także 3 osoby) funkcjonarjuszów państwowych“. Cyfra pierwsza (1000 zł. rocznie) świadczy o ogromie nędzy w Polsce, o wielkości bezrobocia, o głodzie na wsi, cyfra druga (3,136 zł.) o głodowych płacach pracowników publicznych.

Niewątpliwie pewne grupy pracowników prywatnych, przedewszystkiem robotnicy przemysłowi są dziś gorzej płaceni, niż robotnicy w przedsiębiorstwach publicznych; tak, jak znów niektóre grupy pracowników publicznych (wyższe kategorje pracowników umysłowych) są *o wiele* niżej opłacani, niż w przedsiębiorstwach prywatnych. Gdyby się jednak zestawiło sumiennie przeciętny dochód pracownika publicznego i *stale zatrudnionego, najemnego* pracownika prywatnego, różnica byłaby na ogół nieznaczna.

Między *250 zł. rocznie*, jakie „przypada na głowę ludności“ w Polsce a *250 zł. miesięcznie*, jakie zarabia przeciętnie stale zatrudniony pracownik publiczny czy prywatny, niema dysproporcji, ale jest ta dysproporcja, gdy te cyfry zestawimy z cyfrą dochodu tej grupy kapitanów pracy prywatnej, której dochód przekracza rocznie *250 tysięcy złotych.* Obrona tej dysproporcji demagogiczną nagonką na pracę publiczną nie zmieni faktów życia; nie odwróci, nie zatrzyma nurtów rozwijającej się rzeczywistości.

Aby zwiększyć dochód społeczny w Polsce, trzeba w wytwarzaniu tego dochodu zwiększyć udział bezinteresownej, ofiarnej pracy publicznej, pracy kierowanej nie prywatną żądzą zarobku, osiągania największego indywidualnie zysku najmniejszym wysiłkiem, ale kierowanej *społeczną*, publiczną wolą, jak największej wytwórczości, mnożenia dobra ogólnego, gospodarczego rozwoju państwa i całej jego ludności.

A to jest sprawa — nie redukcji państwa, pracy publicznej i pracowników publicznych na rzecz prywaty i prywatyzmu — ale o wiele trudniejsza sprawa *zmiany stosunku człowieka* w Polsce *do pracy — „jako nie do środka zarabiania* — jak pisał Adam Skwarczyński — na życie, *ale do instrumentu wybranej z powołania twórczości*“.

Zwiększyć dochód społeczny w Polsce może tylko praca, tylko taki pracownik, który „nie będzie — jak uczył Skwarczyński — najemnikiem dla zapłaty, niewolnikiem nędznego czy zbytkownego spożycia — lecz twórcą doskonalącym swój warsztat, kochającym swój wytwór i czującym swój organiczny i moralny z nim związek“.

Przezwyciężanie państwa prywaty

W cyklu artykułów pod ogólnym tytułem „Genealogja teraźniejszości“ (tygodnik warszawski „Prosto z mostu“ z lutego, marca i kwietnia b. r.) odtworzył Aleksander Świętochowski jeszcze jeden wizerunek ideologiczny Polski szlacheckiej z okresu jej politycznej dekadencji, opierając się na bogatym materjale dziejopisarskim i pamiętnikarskim i ilustrując ogólne tezy historjozoficzne obfitemi przykładami, nieraz do żywego przejmującemi.

Praca taka zawsze jest pożyteczna, znajomość bowiem naszej psychospołecznej przeszłości narodowej ciągle jest jeszcze zbyt powierzchowna i niedostateczna. Brak zaś tej znajomości, względnie jej niedostatek utrudnia poznanie i zrozumienie wielu zjawisk współczesnych a co zatem idzie — i co jeszcze gorsze — nie wyzwala lub nie przyspiesza koniecznych procesów psychicznych dla formowania nowej kultury moralnej i politycznej narodu, wolnej od grzechów przeszłości. Młócimy patrjotycznie groźne frazesy o złotej wolności, o liberum veto, o anarchicznej naturze polskiej, o nieżycie władzy i t. d., i t. d., mało zdając sobie z tego sprawę, że są to tylko, jakby tytuły poszczególnych rozdziałów książki, których istotnej treści nie kwapimy się już poznawać. A przecież w tej treści dopiero kryje się cały bogaty **system** dawności polskiej, system określonej moralności, logiki życia, poglądu na świat.

Wartość wysiłku Świętochowskiego leży właśnie w tem, że (niezależnie od szeregu mylnie wysnutych wniosków) usiłuje wprowadzić czytelnika in medias res tego systemu szlachecko - polskiego, który położył w rezultacie dawne państwo na obie łopatki. Nie będziemy tu powtarzali historjozofji starego „posła prawdy“, wymienimy tylko wyprowadzone z niej tezy tego systemu.

1. **Rzeczpospolita była w istocie państwem prywatnem,** względnie, jak mówi Świętochowski, „uprywatnionem“. Szlachta 18 stulecia była Polakami nie politycznie, ale tylko etnologicznie. „Jeśli patrjotyzmem nazwiemy... **mierzenie każdego czynu jednostkowego dobrem ogółu,** to tego uczucia nie znajdziemy w duszach ogromnej większości ówczesnego społeczeństwa szlacheckiego. Nie stanowiąc i nie odczuwając siły własnego... uprywatnionego państwa, ulegało to społeczeństwo każdej sile obcej, chociażby ona okazywała się najbardziej wrogą“. **Istota uprywatnienia** czy prywatyzmu dawnej **Rzeczypospolitej polegała na** wiązaniu względnie **utożsamianiu interesów i celów osobistych z publicznemi.**

2. **„Przerośnięty indywidualizm anarchiczny“** wynikał właśnie logicznie z prywatnie pojętego stosunku do państwa, do całości Rzeczypospolitej. **Stosunki, jakie łączyły szlachcica z Rzecząpospolitą były mniej więcej takie, jakie łączą państwa samoistne.** „Były to, że tak powiem, stosunki międzynarodowe“. W ten sposób stają się zrozumiałe i logiczne owe słynne instrukcje dla szlachty posłującej, „która nie tworzyła państwa i nie myślała jego kategorjami“, bo „poseł szedł do sejmu nie dla wzmacniania i obrony Rzplitej, lecz dla popierania interesów własnych lub współpowietników, mających jednakowe z nim cele“. W tym systemie „prywatnego“ państwa znajduje też pełne uzasadnienie prawo „liberum veto“, jako prawo zabezpieczające prywatną, osobistą względnie grupową niezależność.

3. **Takie państwo nie było,** bo nie mogło być **spojone „władzą wiążącą i przenikającą wszystkie jego organy“.** „Rozpadło się, jak mówi Korzon, na udzielne posiadłości możnowładcze, jak za czasów feudalizmu średniowiecznego z wojskami dworskiemi, z dyplomacją i polityką na własną rękę i to w czasie (l'etat c'est moi!) kiedy machiny rządowe doprowadzone były do wysokiego stopnia doskonałości i potęgi, kiedy ministrowie i dyplomaci śnili nieustannie plany podbojów, aljansów i koalicyj“... W tym też systemie, w którym władzy „wiążącej“ t. j. niepodzielnej i jednej być nie mogło — musiała i cała administracja przeniknąć nawskroś duchem prywatyzmu. „Obsadzanie urzędów odbywało się **nie przez dobór jednostek odpowiednich i najbardziej uzdolnionych**, ale przez obdarowywanie najmocniej protegowanych. Naczelne stanowiska w administracji, sądownictwie i armji zajmowali ludzie, którzy nie posiadali żadnego przygotowania“.

* * *

Cel, który sobie wytyczył Świętochowski, pisząc „Genealogję teraźniejszości“ był prawdopodobnie — a właściwie: napewne — inny i różny od tego, który faktycznie osiągnął. Faktycznie bowiem wnikliwa, bezpardonowa analiza ideologji Polski szlacheckiej doprowadziła do głęboko przekonywującego uzasadnienia i usprawiedliwienia naczelnych prawd nowej konstytucji, zawartych w t. zw. dekalogu. Gdyby sprawa nie była zbyt poważna, możnaby żartobliwie powtórzyć frazes z granej obecnie „Teorji Einsteina“, iż prawdy nowej konstytucji zostały przez Świętochowskiego „naukowo udowodnione“...

„Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli“ — ta pierwsza i naczelna prawda konstytucji 23 kwietnia jest akurat dosłownem odwróceniem konstytutywnej zasady Polski szlacheckiej: państwa prywatnego, „uprywatnionego“. — Znamię „prywatności“ stosunku jednostki do zbiorowości, obywatela do Państwa — zastępuje tu cecha publiczności, uspołecznienia. Państwo, jako idea, przestaje być instytucją prywatną, przeznaczoną do eksploatacji przez interes „cezara prowincjonalnego“, absolutnego władcy w granicach swej posesji; staje się najwyższem wspólnem dobrem społecznem.

To przeistoczenie „uprywatnienia“ w uspołecznienie, osobistego interesu, drapieżnie strzeżonego, w dobro wspólne, wzmagane nieprzerwanie z pokolenia w pokolenie — i równocześnie z tem przeistoczeniem niesłychane spotęgowanie roli i znaczenia samego Państwa — to są **nowe** prawdy, nowe historycznie idee przewodnie życia publicznego, które żadną miarą, nigdy „za Boga“ znaleźćby się nie śmiały w konstytucjach Polski szlacheckiej, w dekalogu państwa prywatnego, liberalnego.

Świętochowski słusznie powiada, że społeczeństwu szlacheckiemu idealnie, organicznie obcem było „mierzenie każdego czynu jednostkowego dobrem ogółu“. Z tej właśnie obcości, wkorzenionej w psychikę szlachecką, wywodziła się cała filozofja „liberum veto“, instrukcyj poselskich i t. p. Tą obcością tłumaczyć należy ową bezprzykładną nieodpowiedzialność „posła“, „uważającego siebie za niezależnego od ogółu a sejm za kongres osobnych państewek“, owego posła smoleńskiego, który w r. 1748 wstrzymał czynności sejmu, gdyż w kalendarzu, zawierającym spis posłów umieszczono jego nazwisko na drugiem, zamiast na pierwszem miejscu a zgodził się na przywrócenie activitatem dopiero wówczas, gdy wydrukowano poprawioną listę.

Granica wolności jednostki była zatem „nieograniczona“ „dobrem powszechnem“ a równość szlachecka mechanicznie pojęta nie podlegała żadnej selekcji, dyktowanej udziałem i aktywnością w pracy publicznej.

I tu nowa konstytucja przeobraża rewolucyjnie szlachecki obyczaj w zeszlachconej kulturze społeczeństwa. „Odszlachca“ i równocześnie uszlachetnia obyczaje polskie. Przestrzega obywatela: będziesz mógł sięgać po wpływ na sprawy publiczne tylko i tylko po wylegitymowaniu się prawdziwym, rzetelnym wysiłkiem na rzecz dobra powszechnego (art. 7). Odprywatnienie i równocześnie uspołecznianie psychiki jednostki, w tem właśnie postanowieniu konstytucji dochodzi do swego najradykalniejszego a zarazem najpełniejszego wyrazu. Żegnamy się na zawsze z „przerośniętym indywidualizmem anarchicznym“, sobiepańską, antyspołeczną naturą zeszlachconej Polski, tworzymy ustrój demokracji, niezakłamanej, jedynie prawdziwej w pozytywnym, udowodnionym wysiłku społecznym.

Tamta, prywatna w swej moralności kultura szlachecka była jednak możliwa głównie dzięki niepowtarzalnemu u innych narodów nieżytowi, brakowi woli do „spojenia — jak mówi Świętochowski — społeczeństwa władzą wiążącą i przenikającą wszystkie jego organy“. I „odrodziła“ się ta kultura w nowej Polsce po r. 1918 dzięki konstytucji z r. 1921 i to znowu w czasach, o których mówi Korzon, „kiedy machiny rządowe doprowadzone były w innych państwach do wysokiego stopnia doskonałości i potęgi“.

Nowa konstytucja naprawia ten dziejowy defekt pierworodny. Sądzę, że ciągle jeszcze za mało, za słabo docenia się i rozumie olbrzymią, rewolucyjną doniosłość faktyczną przewrotu majowego a prawną konstytucji 23 kwietnia w tej dziedzinie.

Nowa konstytucja „spoiła społeczeństwo władzą wiążącą i przenikającą wszystkie jej organy“. Uczyniła władzę jednolitą i niepodzielną, „spojoną“, skupioną w Głowie Państwa.

„Jest nas dwustu — mówił Szczęsny Potocki — którzy moglibyśmy sięgnąć po koronę, ale każdy dałby się w kawałki porębać, aby kto inny nie siadł przed nim na tronie“. W ustroju takiej moralności anarchiczno - szlachecko - parlamentarnej — czemże być mogła i gdzie była władza „spajająca, wiążąca i przenikająca wszystkie organy społeczeństwa“?...

* * *

Nowa konstytucja „odprywatnia“ państwo i uspołecznia je.

Pułkownik Sławek tworząc dekalog ideowy ustawy z 23 kwietnia 1935 r., rozumiał głęboko przeszłość polską a rozumiejąc ją — przezwyciężył prywatne państwo Polski szlacheckiej.

Stefan Mękarski.

tydzień polityczny

Znaczenie prawnicze „dekalogu" w nowej konstytucji.

Nowa konstytucja zaczyna przechodzić przez filtr szczegółowej analizy prawoznawców. Interesująco komentuje tzw. dekalog w nowej konstytucji prof. Uniw. Jagiellońskiego Wł. Wolter, który zwraca uwagę na prawnicze znaczenie norm ogólnych, zawartych w pierwszych artykułach konstytucji.

Aby to znaczenie zrozumieć, trzeba się wpierw wyzwolić z pewnych przesądów. Nasze podejście do zagadnień prawnych — powiada prof. Wolter — cechował liberalistyczny pogląd na świat. Ten właśnie pogląd nie wycisnął swego piętna jedynie na treści, ale i na samej formie. Cechą charakterystyczną liberalistycznego podejścia jest tendencja do formalizowania. Sytuacja uległa dziś gruntownej zmianie a z nią zmieniła się też zasadnicza ideologja prawnicza.

Kto chce zrozumieć dzisiejsze prawo, ten musi wpierw zdjąć z nosa okulary liberalistyczne, w przeciwnym wypadku będzie wszystko widział w krzywem zwierciadle.

Jakież jest zatem praktyczne znaczenie norm ogólnych, zawartych w „dekalogu"? Według prof. Woltera potrójne.

Po pierwsze, są one wskaźnikami działalności najwyższych organów Państwa, które muszą odtąd nastawiać życie społeczne po myśli tych wskazań. Innemi słowy, konstytucja, właśnie dlatego, że nie ograniczyła się do formalnych wypowiedzi, wskazała równocześnie materjalnie przyszły bieg życia społecznego, stała się i deklaracją ideową, a przestała być czczą formą, w którą dopiero życie prawno-publiczne wlewa jakąś treść.

Po drugie, tezy stają się niezmiernie ważnemi materjalnemi regułami wykładni dla wszystkich norm prawnych, wszystkich dziedzin prawa. O ile więc jakiś przepis nie jest ujęty tak formalistycznie, że nie pozostawia żadnego pola dla wykładni, to jego interpretacja odbywać się musi pod ciśnieniem tych ogólnych tez, jako zasadniczych wskaźników teleologicznych. Im większą swobodę pozostawia jakaś norma wykładni, tem większe będzie znaczenie tych tez ideowych.

Po trzecie, przepisy te stają się imperatywami i miernikami oceny społecznego życia jednostek. Niewątpliwie ta ostatnia funkcja będzie najsłabiej przejawiała prawny charakter tych norm. Ale i tu ulega błędowi fałszywej perspektywy liberalistycznej, kto sądzi, że taka teza jest bez znaczenia. Na gruncie nowego solidaryzmu społecznego sprawa przedstawia się właśnie inaczej. A jeśli to wszystko nie występuje tak jasno, to tylko dlatego, że twórcy konstytucji, licząc się z psycho-społeczną rzeczywistością, nie poszli po linji radykalnego zerwania z formami przeszłości, ale starali się uzyskać pewien kompromis, który pozwala zachować zdobycze przeszłości i otwiera drogę dla nowych form przyszłości.

P. Łoś chce petryfikować nacjonalizmy w ordynacji wyborczej.

P. St. Łoś zajmuje się w „Czasie" stosunkiem nowej konstytucji do Ukraińców, przyczem sugeruje pomysły ordynacyjne, których komentarz zawarliśmy w nagłówku.

Zdaniem p. Łosia „nic tak bardzo nie dzieli i nie jątrzy, jak wspólna urna wyborcza. A już tam, gdzie wspólna urna wyborcza „łączy" dwie narodowości, które czują, że są odrębne, to „łączenie" musi w praktyce prowadzić do coraz zajadlejszej walki narodowościowej, bo każda grupa narodowa pragnie drugiej wydrzeć jak największą ilość mandatów. Wybory odbywają się nie pod rzeczowemi, choćby bardzo uproszczonemi dla użytku tłumów hasłami programowemi, ale pod hasłami amorficzno-nacjonalistycznemi, utrzymania „narodowego" stanu posiadania — w praktyce, o ile chodzi o Ruś Czerwoną — przy pomocy i rozstrzygnięciu elementu żydowskiego. Jeżeli stosunki polsko-ukraińskie na Rusi Czerwonej mają się normalnie kształtować, trzeba dzielnicę tę obdarzyć taką ordynacją wyborczą, któraby z okazji każdorazowych wyborów nie zaostrzała walki narodowościowej. A zatem ordynacji wyborczej, któraby każdej narodowości zapewniała zgóry i jawnie wiadomą i stałą ilość mandatów. W wyniku tego, nie walczyliby przy wyborach Polacy i Rusini resp. Ukraińcy, lecz mogłyby się wewnątrz każdej narodowej grupy — pewnej swego stanu posiadania — ścierać różne programy, grupy narodowe nie walczyłyby jedna z drugą, lecz krystalizowałyby wewnątrz siebie opinję publiczną odnośnie do poszczególnych konkretnych zagadnień państwowego życia, a parlament byłby — w tej dziedzinie przynajmniej — tem, czem być powinien, t. j. odzwierciedleniem i wyrazem nurtujących w społeczeństwie poglądów".

„Udarniczestwo".

Ministerjalna inspektorka pracy p. Janina Miedzińska wydała ostatnio ciekawą książkę pt.: „Sowieckie państwo pracy" (Nakł. Biblioteki Polskiej w Warszawie), zawierającą skrzętnie zebrany materjał, obrazujący stosunki i warunki pracy w Sowietach.

Praca w Sowietach stanowi najwyższą wartość społeczną. Szalone tempo rozbudowy przemysłu; budowanie olbrzymich gigantów przemysłowych, ambicja prześcignięcia w tej dziedzinie wszystkiego, co dotychczas zostało stworzone na świecie — automatycznie powodując nienasycony popyt na siłę roboczą, wskutek czego od kilku już lat Sowiety nie znają bezrobocia. Równocześnie odbywa się niespotykany nigdzie pod względem rozmiarów pęd w kierunku zdobycia jak największej ilości pracowników kwalifikowanych. W szczególności dotyczy to ciężkiego przemysłu, który cieszy się szczególną opieką i poparciem rządu sowieckiego. By pobudzić zainteresowanie robotników pracą kwalifikowaną, by związać ich z pracą, rząd sowiecki od kilku lat zastosował system znacznego zróżniczkowania płac, usiłując łączyć w ten sposób indywidualny interes robotnika z interesem przemysłu, a temsamem państwa. Na tem tle zrodził się prawdziwy wyścig pracy, którego wyrazem m. in. jest słynne dziś „udarniczestwo".

Równocześnie z prądem uprzemysłowienia Sowietów zaznaczyć wypada kolosalny przewrót, jaki dokonany został w dziedzinie kulturalnej. Każdy robotnik kształci się, wszystkich ogarnęła istna gorączka wiedzy — w mniejszym, czy większym zakresie, zależnie od stopnia zainteresowań indywidualnych człowieka.

Również wielkich czynów dokonano na polu opieki społecznej, jak opieka nad matką, nad dzieckiem itp. Powstała w tej dziedzinie niezliczona ilość instytucyj, cieszących się poparciem władz i przedsiębiorstw.

W ogólnej skali życie obecne w Rosji w porównaniu z czasami carskiemi zostało przebudowane na nowych podstawach i zasadach. Istnieją jeszcze liczne niedomagania, ale naogół poziom warunków ulega ciągłej poprawie, widoczne jest systematyczne dążenie do podniesienia tego poziomu. Stąd planowość i celowość całego systemu gospodarki sowieckiej.

Autorka podnosi jednak szereg momentów krytycznych, dotyczących roli człowieka — jako jednostki — w tym olbrzymim procesie budowy państwa robotniczego. Główny zarzut da się sprowadzić do wątpliwości, czy obecne gwałtowne tempo pracy nie przeciąży społeczeństwa sowieckiego, a przedewszystkiem, czy obecny system negacji — wedle autorki — indywidualnych wartości ludzkich nie wpłynie na rozwój zarówno człowieka, jak i społeczeństwa.

Na arenie międzynarodowej

Pakt francusko-sowiecki.

Od kilkunastu dni toczą się w Paryżu rozmowy nad tekstem — niemal już gotowym — paktu francusko-sowieckiego, i niemal codziennie Havas uspokaja nerwową opinję francuską komunikatem, że „trudności redakcyjne zostały już zupełnie usunięte". Nic dziwnego, że pozafrancuski czytelnik gazet nie może zrozumieć tej gry.

O cóż tu chodzi? Francja nie ma rządu. Koalicję rządową rozsadzają wewnętrzne sprzeczności, których nie jest w stanie opanować żaden autorytet.

W szczególności idzie rozgrywka między p. Herriotem i p. Lavalem. Herriot jest już od 1924 r. zdecydowanym zwolennikiem współdziałania z Sowietami. Poparcie dla tej polityki ma dziś nietylko na lewicy, ale i w kołach reakcyjnych („Petit Parisien" i „Echo de Paris"), marzących o powrocie tych czasów, kiedy rosyjski walec (vouleau compressent) toczył się na drodze do Berlina i mających pretensje do Polski za to, że jej żywe ciało odgrodziło Niemcy od Rosji (choćby bolszewickiej). Natomiast p. Laval cieszy się opinją zwolennika zbliżenia francusko - niemieckiego i w pakcie wschodnim widzi tylko narzędzie dla szachowania Hitlera i zmuszenia go kompromisu.

Rozumiemy więc niecierpliwość „Herriotystów" i ostrożną rezerwę „Lavalistów". Ci ostatni przytem zmuszeni są narazie do ustępliwości ponieważ „Herriotyści" dominują w parlamencie i mają większe wpływy w gabinecie Flandina.

P. Laval zdaje też sobie sprawę z tego, że pakt z Sowietami (a właściwie sojusz z Sowietami) musi oddalić Francję od Włoch i Angli, p. Laval chce bronić swego dorobku, t. j. porozumienia londyńskiego z dnia 3 marca i świeżej przyjaźni włosko-francuskiej, okupionej ustępstwami w Afryce. Dodajmy, że p. Laval, jak się zdaje, docenia znaczenie sojuszu polsko - francuskiego i o wiele trzeźwiej patrzy na tę sprawę od shisteryzowanych admiratorów „walca" rosyjskiego.

To też p. Laval pragnie paktowi z Sowietami nadać takie brzmienie, któreby umożliwiało utrzymanie w mocy zasad paktu z Locarna, oraz sojuszu z Polską. Taki pakt nie przedstawia jednak większej wartości dla dyplomacji sowieckiej, która stara się wszelkiemi środkami narzucić Francji sojusz „automatyczny", zapewniający pomoc francuską dla ZSSR **w każdym wypadku.** A więc np. także i przeciw Japonji na wypadek wojny na Dalekim Wschodzie. Albo i przeciw Polsce.

Natarczywość ambasadora ZSSR w Paryżu, Patiomkina (o wymownem historycznem nazwisku) budzi zresztą coraz żywszą reakcję we Francji. P. Laval ma też coraz więcej powodów do zajmowania „wyczekującego" stanowiska.

Może zresztą w chwili, gdy numer naszego tygodnika wyjdzie spod prasy, pakt francusko - sowiecki będzie już zredagowany i agencja Havasa uroczyście obwieści ten fakt wiekopomny. Ale nie będzie to pakt „automatycznej" pomocy. Słabość francuska nie sięga jeszcze tak daleko, aby p. Patiomkin odgrywał w Paryżu taką rolę, jak ongiś Stackelberg — niestety — w Warszawie.

Dzieje falsyfikatu.

Sfałszowany tekst rzekomego układu polsko - niemieckiego, sfałszowany zresztą idjotycznie, ogłosił przyjaciel Herriota, deputowany Lamoureux w wychodzącym w Lyonie organie p. Herriota „Salut public". Tekst ten ma już zresztą swoją historję.

Poraz pierwszy ukazał się w piśmie słynnej aferzystki, Marty Hannau, o krzykliwej nazwie „Ecoutez-moi", z dnia 27 lutego br. Stamtąd przeszedł do prowincjonalnego „Bourbonnais republicain" i tu wygrzebał go pan Lamoureux. Przed opublikowaniem falsyfikatu przez panią Hanau, „dokument" wystawiano na sprzedaż kilku redaktorom paryskim, ale żaden nie chciał z niego skorzystać. Skąd więc teraz tyle krzyku?

Tygodnik „Je suis partout", zwalczający projekt sojuszu francusko-sowieckiego, przypuszcza, że falsyfikat został sporządzony przez grupę kapitalistów francuskich, zirytowanych spowodu „prześladowań", na jakie francuski kapitał (Coeurów i Boussaków) narażony jest w Polsce. To samo pismo daje jednak do zrozumienia, że rozszerzaniem „dokumentu" zajęła się ostatnio ambasada ZSSR w Paryżu w dążeniu do zerwania sojuszu francusko-polskiego, jako przeszkody w zawarcie przedwojennego sojuszu z Rosją.

„Radzimy gorąco Sowietom" — pisze „Je suis partout", — „aby okazały więcej zręczności przy fabrykowaniu następnego apokryfu. Radzimy także naszemu rządowi, aby zarządził śledztwo nad pochodzeniem tego dokumentu i pociągnął jego twórców do odpowiedzialności. Kto bowiem sporządza falsyfikat, albo go świadomie rozpowszechnia, popełnia przestępstwo. W tym wypadku jest to tembardziej niezbędne, że chciano zrobić nowy zamach na nasz sojusz z Polską, mający dla nas inną wartość, aniżeli sojusz z obecnymi miesz kańcami Kremla.

Święto pierwszomajowe

W krajach, opanowanych przez rewolucyjne monopartje, w Sowietach i w Niemczech, robotnicze święto 1 maja, obchodzone tam oficjalnie, zmieniło bardzo swój charakter. Przestało być świętem partyjnem, obchodem nienawiści klasowych, rozrywającym dawne społeczeństwo, a zarazem i walk bratobójczych w łonie samych ugrupowań robotniczych. Jest świętem państwa socjalnego, kształtującego świadomość mas, świętem nowej kultury państwowej, nowej kultury moralnej, panującej w zespołach zorganizowanej pracy.

Taki sam charakter powinnoby posiadać święto pierwszomajowe polskiego „świata pracy". Trzeba jednak, by organizacje robotnicze, stając na gruncie konstytucji 23 kwietnia — przezwyciężyły mentalność partyjną i wyzbyły się naroszonej im moralności „starego, podłego świata", materjalistycznej moralności XIX-go wieku, aby zatem zrozumiały, że miejsce ich jest tylko w awangardzie sił budujących nowe państwo socjalne, tworzących nową moralność i nową jej kulturę, a więc — pod sztandarem Obozu Majowej Rewolucji.

Nasze polemiki

Dokoła proletkultu

Bić kogoś po grzbiecie za cudze grzechy jest sprawą bardzo wygodną i łatwą — jeżeli się te cudze grzechy zna doskonale. Co więcej — jeżeli funkcję bicia wykonuje się spokojnie, bez egzaltacji, z rozwagą doświadczonego mędrca nietrudno jest wywołać w umysłach świadków tej czynności szczere przekonanie, że wykonuje się pracę pożyteczną. Bolesław Zubrzycki, w artykule „Fałszowany proletkult" w nr. 16 „N. Cz." oprócz kilku innych błędów popełnia i ten, że w imię prawdziwego proletkultu (o którym czyni tylko dalekie aluzje) gromi fałszywy proletkult, który wcale nie istnieje w formie skonkretyzowanej przez Zubrzyckiego, w imię grzechów popełnianych rzekomo przez fałszywych proletkultowców. — Lekkie oszołomienie? Prawda?

Chciałbym tę sprawę wyprostować, bo jest ona djabelnie pogmatwana. Nie mogę zupełnie pisać o tem jakie były zamiary Zubrzyckiego, ale mogę stwierdzić, że na marginesie zadziwiająco jasnych uwag Skiwskiego („Naprzełaj") o proletkulcie, Zubrzycki nakreślił szereg mądrych zdań, które razem wzięte stanowią nieskordynowany ogień flankowy na pozycję b. cenną. Rzecz naprawdę zdumiewająca, jak można było zidentyfikować propagatorów życia ułatwionego, wyznawców doktryny odbrązawiania wielkości i proletkultowców? I w tym samym artykule wyklinać z literatury szarego człowieka z jego duszyczką homunculusa? — Ostatecznie — można powtórzyć za Skiwskim swoją niechęć do „szarego człowieka" — ale co to ma wspólnego z proletkultem „życia ułatwionego"? Już samo zestawienie tych spraw w jednem zdaniu robi wrażenie humorystyczne. O wiele prościej byłoby, gdybyśmy się wypowiedzieli przeciw literaturze, opisującej niedole szarego człowieka a za literaturą z wyższych sfer towarzyskich. Toby przynajmniej było wyraźnie powiedziane co i jak. A tymczasem atakuje się literaturę szaroczłeczą w imię tego m. in. że ten szary człek „namiętności swe wyładowuje prymitywnie, przeważnie na ponuro i dość monotonnie". Również „pazury", „czkania", „charkotania" i t. d. nie są wcale rekwizytem powieści z dna społecznego. Tego rodzaju określenia znajdujemy przedewszystkiem u Kadena i w kilku książkach nic nie mających wspólnego z proletkultem. W „Wspólnym pokoju" Uniłowskiego aż śmierdzi od ciągle nadużywanej porkomanji a mimo to książka ta jest taka właśnie, jaka być musiała.

Wprawdzie jest wielu w Polsce pisarzy, reprezentujących rozmaite stanowiska poznawcze, którzy się do tworzenia t. zw. kultury proletarjackiej przyznają, nigdy jednak szermierze idei życia ułatwionego nie zaliczali się do proletkultowców. Przeciwnie nawet — Boy, jako motor ruchu społeczno - literackiego jest na gruncie polskim jednym z nielicznych propagatorów starej „historycznej" literatury mieszczańskiej Francji. I jest propagatorem niewątpliwie b. zasłużonym. Nikt chyba lepiej od niego nie rozumie konieczności zachowania w budowie kultury humanistycznej linji ciągłej, wiązań z tradycją kulturalną. Nie przypominam sobie też, aby Boy kiedykolwiek wypowiadał się w sprawie t. zw. kultury proletarjackiej. Wypowiedział się natomiast w tej kwestji dość wyczerpująco Skiwski, umysł zadziwiająco precyzyjny, a Zubrzycki źle za nim powtórzył. Źle — bo uczynił to w innym celu, dodał swoje uwagi — mądre ale nie na miejscu, pokręcił, pogmatwał — i nawet się nie spostrzegł kiedy — pofałszował rzeczywistość. „Szary człowiek" nigdy nie występował w literaturze, jako określony ideał (Zubrzycki twierdzi przeciwnie); był natomiast często w powieściach głównym objektem zainteresowania autora. To jednak, że stu autorów pisało w swych książkach o „szarym człowieku" nie stwarza jednak ideału szarego człowieka, tak jak literatura Mniszkówny nie stworzyła „ideału wyższych sfer towarzyskich". Zrozumiałe jest, że autorzy dzisiaj, gdy dziewięćdziesiąt parę procent wszystkich społeczeństw to „ludzie szarzy" piszą o nich właśnie. Zrozumiałe jest, że szary człowiek często pluje, charcze i t. p. Zrozumiałe jest, że Skiwskiemu, jako zawodowemu krytykowi mogło to obrzydnąć. Nie jest natomiast zrozumiałe dlaczego szary człowiek obrzydł Zubrzyckiemu.

Fabian.

Katastrofa gospodarki światowej

Postarajmy się uprzytomnić sobie na czem polega w istocie zjawisko kapitalizmu. Marksista powiedziałby, że kapitalizm jest to ten system, przez który kapitaliści sprawują hegemonję w produkcji, uzyskując kierownictwo nad masami pracującymi, oraz zagarniając znaczną część owocu ich pracy. ,,Kapitalizm arystokratyzuje produkcję" — powiedział Artur Labriola. Zarazem też rozkłada on wszelkie dawniejsze stosunki socjalne, nie oparte na bazie gospodarczej, zastępując je przez stworzone przez siebie stosunki gospodarcze. Dobrze, lecz jest to tylko zewnętrzna strona kapitalizmu, po którym możemy go poznać i odróżnić od innych ustrojów gospodarczych. Treść kapitalizmu możemy określić tylko przez ukazanie wewnętrznej rytmiki produkcji kapitalistycznej.

Istotą kapitalizmu jest więc ta jego wewnętrzna rytmika, inaczej mówiąc, jego ekspansywność. Kapitał ciągle pracuje nad płodzeniem nowego kapitału. Kapitał umieszczony w produkującem przedsiębiorstwie przynosi dochód, który w znacznej części, zwanej **oszczędnością,** zostaje znowu zatrudniony, aby stwarzał nowy dochód. W tym celu trzeba go umieścić z kolei w innem przedsiębiorstwie. Odbywa się więc, jak to określił Marks, nieustanna przemiana kapitału ruchomego — **oszczędności** na kapitał stały — **maszyny.** Następstwem tego procesu jest nieustanny wprost produkcji, będący funkcją nieustannego wzrostu kapitałów. Zatrzymanie tego procesu byłoby równoznaczne z upadkiem ustroju kapitalistycznego.

Stały wzrost produkcji powoduje konieczność nieustannego rozszerzania rynków zbytu. W tym celu kapitalizm dąży do rozszerzania terenów, na których znajduje konsumentów i staje się zdobywczy i zaborczy, co jest zresztą jego życiową koniecznością; ciągłe rozszerzanie rynku stanowi bowiem dlań kwestję istnienia.

Teoretycznie więc odbiorcą produktów przedsiębiorstwa kapitalistycznego jest cały świat. Istnienie rynku światowego staje się więc prostą konsekwencją systemu kapitalistycznego.

Lecz rozszerzanie rynku na zewnątrz jest możliwe tylko do pewnych granic. Świat zamieszkały i podległy woli ludzkiej, powierzchnia kuli ziemskiej, nie jest bowiem obszarem nieskończonym. **Terminos posuisti, quos non transgredientur,** ustawiłeś granice, których nie przekroczą — woła pod adresem Boga psalmista.

Wynikałoby z tego, że musi nadejść taki moment, w którym dalsze rozszerzanie rynku nie będzie możliwe, a zatem moment zahamowania tempa produkcji kapitalistycznej. Moment ten musiałby przynieść przepowiedziany przez Marksa trwały i ogólny kryzys produkcji, oraz upadek ustroju kapitalistycznego. Jasnem jest tedy, że Marks zgoła niepotrzebnie łączył tę koncepcję ze swą koncepcją pauperyzacji. Nawet wyłączając pauperyzację, uzyskujemy coprawda w odległej perspektywie granicę, poza którą nie można zwiększać produkcji. System Forda przynosi wprawdzie znaczne rozszerzenie rynku. Ford spostrzegł, że miejsce nowych rynków zamorskich może zająć najbliższy sąsiad fabryki — zatrudniony w niej robotnik, o ile mu się umożliwi nabywanie jej produktów. Lecz oczywiście i w tym kierunku rozszerzenie możliwości konsumcyjnych nie może być nieograniczone.

Wprawdzie wykazano, że popyt musi wzrastać z produkcją, jako popyt na nowe środki produkcji. Lecz i to nie zmienia sprawy. Paradoksem tylko jest twierdzenie, że w ten sposób rynek uniezależnia się od konsumcji. Ostatecznie konsument indywidualny ze swojemi potrzebami i ze swą możnością nabycia towaru jest w każdym wypadku końcowym odbiorcą produkcji, stanowi jej rację bytu. Nowe maszyny mogą tylko być pośrednikiem między nim, a produkcją, stwarzając środki produkcji, dąży się pośrednio do zaspokojenia potrzeb konsumenta. Produkcja dla produkcji, nie dla konsumcji, produkcja, przy której przedsiębiorstwa pracują wzajemnie dla siebie, wymieniając między sobą środki produkcji, uniezależnione od indywidualnego konsumenta — to koncepcja gigantyczna, ale utopijna. A przeto musimy dojść do przekonania, że produkcja nie może wzrastac bezgranicznie. W każdym kierunku musi natrafiać na barjery, które ostatecznie zatrzymają rytmikę kapitalistycznego rozwoju gospodarki.

W rozumowaniu dotychczasowem przyjmowaliśmy teoretyczne środowisko gospodarcze, obejmujące cały świat. W ślad za obiema szkołami, zarówno liberalną, jak i marksowską rozumowaliśmy tak, jakby ono było blokiem homogenicznym i nierozdzielnym. Rozumowanie nasze doprowadziło nas do stwierdzenia, że nawet i takie środowisko musiałoby się zatrzymać w swym rozpędzie, dochodząc do momentu nieuchronnego i trwałego zatoru, spowodowanego przez wyczerpanie możliwości konsumcyjnych. Oczywiście moment ten przyniósłby zatrzymanie koła rozpędowego systemu kapitalistycznego, a zatem nieuchronny upadek tego systemu. Albowiem w tym momencie dalsze tworzenie kapitałów nie miałoby już żadnego sensu. Kapitał ruchomy przestałby przekształcać się w kapitał stały. Po zatorze towarów zjawiłby się skolei zator kapitałów naprózno szukających zatrudnienia. A zatem musiałby nastąpić niebywały krach finansowy. Trudno przyjąć, aby ustrój kapitalistyczny mógł przetrzymać taką katastrofę.

Marksowska koncepcja katastrofy nie jest przeto fantasmagorją, nawet jeśli eliminujemy jej związek z koncepcją postępującej pauperyzacji. Można tylko stwierdzić, że teoretyczna nieodzowność takiej katastrofy jest bardzo odległa; będzie ona bowiem — w teorji — miała miejsce wtedy dopiero, gdy produkcja nasyci światowy rynek do tego stopnia, że dalszy jej wzrost nie będzie już możliwy. Lecz cały wynik tego rozumowania jest ważny tylko dla teoretycznego środowiska gospodarczego, obejmującego cały świat.

Rzeczywistość wygląda inaczej; w rzeczywistości nie istnieje jednolite światowe środowisko gospodarcze, ale w gospodarce światowej uczestniczą różne, zwalczające się siły. Przedewszystkiem zaś rozwój różnych środowisk gospodarczych nie odbywał się równomiernie. Istnieją więc środowiska bardzo zaawansowane w rozwoju i inne, które zostały w tyle. Można je poprostu uważać za starsze i młodsze. Te, w których rozwój gospodarczy na gruncie systemu kapitalistycznego zaczął się najwcześniej, zyskały sobie duży awans, który wykorzystały, podbijając rynki zbytu i ujarzmiając siły produkcyjne narodów zacofanych; one więc dzielą się między sobą hegemonją w gospodarstwie światowem. Lecz między niemi, a narodami młodszemi musi dochodzić do starć. Wszędzie mnożą się konflikty imperjalizmów gospodarczych z eksploatowanemi krajami, które chcą się wyzwolić z krępującej je zależności, choćby poto, aby same uczestniczyć w hegemonji nad gospodarką światową.

Współcześni Marksa nie zdawali sobie sprawy z tych sprzeczności, które są równie żywe i równie zgubne dla ustroju liberalnie-kapitalistycznego, jak sprzeczności między kapitalistami, a robotnikami. Istotnie odrywanie się rynków zbytu od teoretycznie jednolitego światowego środowiska, opanowanego przez czynniki, kierujące gospodarką światową, ma takie same następstwa, jak te, którėby spowodowało doprowadzenie produkcji do jej ostatecznych granic. Nagła amputacja jakiegoś rynku powoduje zator kapitałów i zator towarów, w krajach gospodarczo zaawansowanych. Zator ten jest stały i naprózno zagrożone narody pracują nad jego usunięciem. W rezultacie następuje takie samo zatrzymanie rytmiki kapitalistycznej w środowiskach panujących, jakie miałoby miejsce w razie trwałej nadprodukcji w teoretycznem środowisku światowem. Środowiska te naprózno starają się zapobiec nadciągającej katastrofie.

Możnaby wprawdzie na to odpowiedzieć, że ta sytuacja jest przejściowa, a wynikający z niej kryzys strukturalny będzie trwał tylko tak długo, dopóki nie nastąpi wyrównanie stopnia rozwoju między starszemi i młodszemi narodami. Przyszłość zależy jednak od tego, jak szybko może nadejść to wyrównanie różnic i zamknięcie epoki kryzysu. Jeśliby ono miało przyjść w przyszłości stosunkowo bliskiej, to światowe środowisko gospodarcze mogłoby znowu wejść w rytmikę kapitalistycznego rozwoju. Lecz jeśliby takie rozwiązanie ociągało się, to starokapitalistycznym środowiskom gospodarczym groziłoby nieuchronnie zupełne rozsadzenie. Życie musiałoby sobie znaleźć nowe łożyska, odrzucając przeżyte formy. Trudno bowiem liczyć na to, aby masy ludzkie cierpliwie czekały na koniec depresji.

Wszyscy teoretycy, którzy idąc szlakami myśli Marksa, albo też przecząc jej i zwalczając ją, badali możność katastrofy ustroju kapitalistycznego, starali się perspektywy rozwoju oznaczyć tylko tak, jakby się one przedstawiały, jeśliby były kształtowane pod działaniem przyczyn ściśle - gospodarczych i w teoretycznem środowisku gospodarczem. Zapomnieli oni, że na rozwój gospodarczy oddziaływują także pozagospodarcze czynniki — zwłaszcza natury **politycznej.**

Jeśli cała ludzkość weszła od roku 1930 w okres ostrego kryzysu gospodarczego natury strukturalnej, który bardzo się zbliża do tego, jakiego nadejście zapowiadał Marks, nastąpiło to w znacznej części z przyczyn, które określilibyśmy jako polityczne. Ale w gruncie rzeczy między życiem politycznem, a życiem gospodarczem niema żadnych granic. Życie polityczne jest nietyle pewną funkcją, co pewnym **kształtem** życia gospodarczego. Lecz wprowadza ono na arenę gospodarczą siły, których szkoła liberalna albo niezauważyła, albo też chciała wyłączyć ich wpływ na tok produkcji Nacjonalizmy gospodarcze - antykapitalistyczne (a takiemi są one w samej swej istocie), mają taką samą rację bytu, jak imperjalizmy gospodarcze - kapitalistyczne. Wola rewolucyjna mas pracujących, dążących do obalenia hegemonji kapitalistycznej w produkcji jest zjawiskiem tak samo naturalnem, jak ekspanzja produkcyjna środowiska kapitalistycznego. Ekonomiści mogą wprawdzie uważać, że świat oszalał, skoro nie chce składać się z marjonetek, poruszających się według ich wskazówek. Lecz na to zmartwienie świat nie znajdzie rady i nie będzie się niem zbytnio przejmował.

Kazimierz Zakrzewski.

Zasekwestrowany uczony

Prof. Ludwik Wertenstein w „Kurjerze Porannym" w następujący sposób oświetla głośną dziś sprawę „porwania" prof. Kapicy przez Sowiety:

Dzieje życia Piotra Kapicy są tak niezwykłe, że ostatni epizod nie zdziwi tych, którzy bliżej znali młodego Rosjanina. Przodkowie Kapicy, Kapica—Milewscy pochodzą z Polski. Był to ród szlachecki, herbu Ślepowron. Piotr Kapica rozpoczął badania pod kierunkiem znanego uczonego rosyjskiego prof. A. Joffego, członka Leningradzkiej Akademji Umiejętności. Mając dwadzieścia kilka lat zwrócił na siebie powszechną uwagę niezwykłemi zdolnościami i został wysłany jako stypendysta do Cambridge w Anglji do Cavendish Laboratory, którego dyrektorem jest Lord Rutherford. Ledwie umiejący wyjęzyczyć się po angielsku, nikomu nieznany, młodziutki cudzoziemiec, w krótkim czasie zdobył uznanie profesora, podziw kolegów, a następnie rozgłos i zaszczytne stanowisko. Kapica zaimponował wprost Anglikom śmiałością pomysłów, energją i zręcznością w ich realizowaniu. Stawiał sobie cele, które nawet najlepszym eksperymentatorom wydawały się nieosiągalne. Możnaby powiedzieć, że dominującą cechą umysłowości Kapicy jest dążność do pobijania rekordów w technice doświadczalnej; tym rysem swej indywidualności podbił serca Anglików, których zmysł sportowy odgrywa wielką rolę nawet w pracy naukowej.

Głównym „wyczynem" Kapicy jest zrealizowanie bardzo potężnych pól magnetycznych. Wiadomo, że do tego celu służą elektromagnesy czyli bryły żelazne odpowiedniego kształtu owinięte drutem przez który przepływa prąd elektryczny. Między biegunami elektromagnesu powstaje „pole magnetyczne", które możemy mierzyć np. przyciąganiem wywieranem na umieszczony w polu kawałek żelaza. Im silniejszy prąd tem natężenie pola jest większe. Przed pracami Kapicy w najsilniejszych elektromagnesach osiągano pole o natężeniu 50.000 jednostek (zwanych gaussami). W zasadzie możnaby osiągnąć pole dowolnie wielkie, na przeszkodzie stoi jednak okoliczność, że prąd płynący w drutach ogrzewa je, i może je stopić jeżeli jest zbyt silny. Kapica powziął śmiałą myśl przepuszczenia w zwojach prądu o natężeniu kilkunastu tysięcy amperów w ciągu 1/100 sekundy. W ten sposób można uniknąć niebezpiecznego wzrostu temperatury, z drugiej zaś strony działania pola magnetycznego, które interesują fizyków rozgrywają się tak szybko, że krótkość trwania eksperymentu nie jest istotną przeszkodą, należy tylko użyć rejestrujących przyrządów (t. zw. oscylografów) dostatecznie czułych i notujących z błyskawiczną szybkością dzieje substancji umieszczonej między biegunami elektromagnesu. Rutherford zapalił się do tego pięknego pomysłu i użył swego całego olbrzymiego wpływu by zgromadzić środki potrzebne do jego realizacji. Potrzebne były sumy kilkuset tysięcy złotych; znalazły się niebawem, ponieważ idea wydawała się wielka i ponieważ w Anglji nieznane są metody ciasnego nacjonalizmu. Dzieło Kapicy wyrastało i uzyskało swą definitywną postać podczas mojego pobytu w Cavendish Laboratory w latach 1926—1927. Największa trudność polegała na tem, by włączony w obwód prąd o natężeniu kilkunastu tysięcy amperów przerwać po upływie 1/100 sekundy. W tym celu Kapica obmyślił i zbudował specjalny wirujący przerywacz o niezmiernie precyzyjnym mechanizmie zwierania i wyłączania prądu. Rutherford dał Kapicy do użytku salę o wielkości hali fabrycznej. W tej sali stał na podmurowaniu generator prądu podobny do tych jakie widujemy w elektrowniach, lecz przystosowany do wyładowywania olbrzymich ilości energji w 1/100 sekundy. Obok generatora był umieszczony automatycznie działający przerywacz, który miał we właściwej chwili dokonać zwarcia i rozwarcia, niczem eksplozji efektów elektromagnetycznych. W drugim końcu sali znajdował się elektromagnes z umieszczoną między jego biegunami substancją; w sąsiednim pokoju zmontowane oscylografy czekały na „eksplozję", której skutki miały zapisać. W elektromagnesie Kapicy powstawało pole o natężeniu 500.000 gaussów. Aparatura Kapicy była jedną z głównych atrakcyj Cavendish Laboratory, prowadzono do niej zawsze zwiedzających Instytut gości zagranicznych lub angielskich. Koledzy w laboratorjum nazywali ten pokaz „Kapitza's show" (przedstawienie). Istotnie było to przedstawienie, które Kapica odprawiał z całem nabożeństwem. Po wejściu gości do sali drzwi zamykały się automatycznie by nie zakłócać spokoju operatora, który musiał wykonać setki zawiłych czynności. Kapica i jego asystent stali przy wielkiej tablicy rozdzielczej, manewrowali drążkami wyłączników, biegali po sali, sprawdzali działanie amperomierzy etc. Puszczanie w ruch wielkiego generatora trwało około 10 minut. Napięcie publiczności wzrastało razem z napięciem elektrycznem na zaciskach maszyny. Wreszcie w końcowym momencie włączano przerywacz, rozległ się trzask krótkiego zwarcia potężnej maszyny, poczem Kapica biegł do pokoju oscylografów i pokazywał zapis przyrządów.

Należy zaznaczyć, że pod względem czysto naukowym elektromagnes Kapicy nie dał narazie tak ciekawych wyników jak się tego spodziewano. Mam jednak przekonanie, że dla samego Kapicy pointe'ą były nietyle te wyniki ile pobicie rekordu „magnetycznego". Zresztą świat naukowy uznał, że Kapica zasłużył sobie na sławę samym wynalazkiem, nawet bez względu na to jakie korzyści mogą z niego wyniknąć. Młodemu rosjaninowi przypadły w udziale różne zaszczyty: najpierw wybór na członka Trinity College, później na członka Akademji Brytyjskiej, t. zw. Royal Society.

Ale jego żywiołowemu temperamentowi (z Kapicą niebezpiecznie było jeździć samochodem, gdyż zawsze rozwijał maksymalną prędkość) nie wystarczał jeden komplet cudów techniczno-naukowych. Zdołał przekonać Rutherforda, że do racjonalnego wykorzystania olbrzymich pól magnetycznych potrzebne jest laboratorjum najniższych temperatur, zbliżonych do zera bezwzględnego (w tych temperaturach efekty magnetyczne są istotnie najsilniejsze). I oto stary mistrz daje się „uwieść" poraz drugi, popiera dążenia Kapicy całą mocą swego autorytetu. Royal Society przeznacza coś około pół miljona złotych na budowę nowego laboratorjum, które stanęło pod nazwą Alfred Mond Laboratory (od nazwiska głównego fundatora). W konstrukcji i obmyśleniu szczegółów laboratorjum Kapica okazał znowu wszystkie zalety swego genjuszu wynalazczego, między innemi obmyślił nowy sposób otrzymywania w stanie ciekłym helu, najoporniejszego ze wszystkich gazów.

Mond Laboratory zwiedzałem w październiku r. z. — bez Kapicy. Przebywał wówczas w Rosji, mówiono, że spóźnił się na zjazd, który odbywał się wtedy. Złośliwi szeptali, że Kapica nie przyjechał, ponieważ nowe „show" nie było tak sensacyjne jak dawne. Jak się okazało, przyczyny były inne. Kapica nie wracał, bo nie mógł, czy nie chciał wrócić. Dochodziły do mnie wieści, że w Sowietach zaproponowano mu zorganizowanie nowego wielkiego Instytutu badawczego. Znając jego charakter, jego nieustanną potrzebę budowania rzeczy, wciąż nowych, coraz bardziej zadziwiających, przewidywałem, że propozycje sowieckie mogą go pociągnąć, niemniej sądziłem, że zerwanie z Anglją, której tyle zawdzięczał, porzucenie dzieła, które jego kosztowało tyle wysiłków a społeczeństwo angielskie tyle pieniędzy — byłoby postępkiem w pewnem znaczeniu nieetycznym. Komunikat ambasady sowieckiej w Londynie przynosi nam rozwiązanie tej zagadki; dowiadujemy się, że Rosja, która potrzebuje uczonych ma „prawo" żądać usług od swoich obywateli. Enuncjacja ta oznacza niewątpliwie, że Kapica został zmuszony do pozostania w Rosji. Spowodu braku bliższych wiadomości, najrozsądniej byłoby narazie powstrzymać się od komentarzy.

Nastroje katastroficzne a polityka kultury

Nastroje katastroficzne stały się dominującemi nastrojami dzisiejszej epoki. Nietylko mistycy i wizjonerzy przeżywają dziś apokaliptyczne trwogi; przeżywają je ,,ludzie ulicy'', skrachowani giełdziarze i bezrobotni narówni z książętami żelaza i jedwabiu; nad powojenną Europą zawisł klimat Apokalipsis.

Zagadnienia bankructwa dotychczasowych form życia gospodarczego i politycznego, ideałów moralnych i społecznych, stworzonych przez Wielką Rewolucję francuską, jednem słowem zagadnienia katastrofy, końca kultury stały się przedmiotem powszechnego zainteresowania; świadczy o tem dobitnie rozrost literatury ,,katastroficznej'' o którym w jednym z poprzednich numerów ,,Nowych Czasów'' komunikował p. Tymon Terlecki.

Powstające wśród takich nastrojów epoki ideologje społeczno-polityczne obejmują, niemal wszystkie, znacznie szerszy zakres zagadnień, niż ideologje polityczne epoki parlamentarno-liberalnej demokracji; wszystkie nadają sobie charakter światopoglądowy, stawiając sobie za cel nietylko rozwiązanie aktualnych zagadnień politycznych i gospodarczych sensu stricto, ale także i to przedewszystkiem, świadome kierowanie całością przejawów danej kultury. Temu rozszerzeniu problematyki ideologicznej odpowiada także i rozszerzenie platformy działania; o ile dawniej walka polityczna toczyła się przeważnie na terenie zebrań publicznych i prasy, to dziś wtargnęła ona wszędzie — w najbardziej ,,apolityczne'' organizacje — we wszystkie dziedziny życia. Literatura, film, sztuka, teatr nawet stały się środkiem wypowiedzi ideologicznej, środkiem propagandy, środkiem walki. Ideologje przestały być sprawą t. zw. ,,przekonań politycznych'' stały się kwestją wyznania, wiary; miejsce ,,zwolenników'' zajęli wyznawcy. Walka programów parlamentarnych ustąpiła miejsca walce światopoglądów, dawne ,,partje'' parlamentarne — nowożytnym, masowym i zdyscyplinowanym ruchom politycznym.

Przeczucia katastrofy, nieuchronnego upadku obecnego porządku rzeczy narzucają wyznawcom ideologji wiarę w ogólnoludzką, dziejową misję ruchu — nadają tym ideologjom kształt mesjaniczny; mają one odrodzić względnie stworzyć nową kulturę, nowy styl życia, nową moralność. Mistyka rewolucyjna, właściwa dawniej jedynie grupom skrajnej lewicy, przeniknęła we wszystkie prądy i kierunki polityczne i społeczne, zarówno ,,lewicowe'' jak i ,,prawicowe'', ,,postępowe'' i ,,reakcyjne'' Klasycznym przykładem takiego rozwoju ideowego jest ideologja niemieckiego ,,Czarnego Frontu''; wychodząc z założeń integralnego nacjonalizmu, z idei totalnego państwa narodowego dochodzi do celu najwyższego, jakiem jest dla niej ,,Federacja Europejska'', złożona z nacjonalistycznych państw, o ustrojach swoistych, odpowiadających ich tradycjom i charakterowi narodowemu; ma ona za zadanie powszechną ochronę mniejszości, ułatwienie wymiany gospodarczej i kulturalnej, głównie zaś — ,,uratowanie Kultury Zachodniej''. W tem świetle rewolucja niemiecka ma dać początek moralnemu odrodzeniu innych narodów Europy, w sensie narodowym i socjalistycznym — mesjanistyczne nastawienie łączy się tu ściśle z problemem walki o wspólne dobra kultury zachodniej. Podobnie mesjanistyczne nastawienie ożywia też wyznawców Marksa z ZSSR, występuje tu obok wiary w nieograniczony postęp ludzkości w myśl haseł zachodniego humanitaryzmu liberalnego bardzo silny moment pogardy dla ,,zgniłego Zachodu''; ideał socjalistycznej ojczyzny łączy się z wiarą w misję dziejową imperjalizmu nacjonalistycznego Rosjan i tradycją środkowo-azjatyckich zdobywców świata — z mitem Timuridów.

Sprawa kultury — jej renesansu czy budowania od nowa staje pośród czołowych zagadnień ideologicznych współczesnych ruchów politycznych.

* * *

Synkretyczny charakter cywilizacji mieszczańskiej i jej ściśle racjonalistyczne podłoże nie mogły odpowiadać ludziom wielkiej wojny, wracającym do domowych pieleszy. Nie mogła też tym ludziom odpowiadać ,,ciepła woda'' humanitarystycznej moralności społecznej; przeżycia wojny wykąpały ich w zbyt gorącej wodzie, by mogli i chcieli wierzyć w dość mglistą religję rozumu i postępu, głoszoną solidarnie przez wszystkie grupy polityczne, przywiązane do ustabilizowanego ładu przedwojennej prosperity i do metod polityki parlamentarnej, odpowiadających temu szczególnemu pokojowi społecznemu, jaki zapanował w dobie rządów działaczy wiecowych i biurkowych mężów stanu.

Ich dążeniu do nowego stylu życia odpowiadały raczej stare i dość zapomniane ideały kultury narodowej, niż liberalna frazeologja wolnościowa. Burza wielkiej wojny i powojenne stosunki gospodarcze, społeczne, komunikacyjne i polityczne wykazały dość wyraźnie iluzoryczność pojęcia ogólnoludzkiej pozanarodowej kultury. Nastąpił szybki i wyraźny proces różniczkowania się t. zw. kultury europejskiej — integralny nacjonalizm nowożytny rzucił hasło nawrotu do źródeł kultury, do tradycji dziejowej narodów.

Dokoła haseł nowego nacjonalizmu zgrupowały się w pierwszym rzędzie zdeklasowane elementy mieszczańskie, zdemobilizowani żołnierze, dążący do przezwyciężenia skomercjalizowanej cywilizacji burżuazji liberalnej; elementy, pozbawione wyraźnego oblicza klasowego, stojące dość daleko od procesów produkcyjnych. Ideologje nacjonalistyczne ery przedwojennej skupiały pod swemi sztandarami wcale nie światoburcze grupy średniego i drobnego mieszczaństwa, klasę urzędniczą; konkubinat tych dwóch odmiennych psychik, światoburczych synów marnotrawnych i zrównoważonych ojców rodzin odbił się na linji ewolucyjnej, jaką przeszły koncepcje ideowe nacjonalizmu integralnego. Obie grupy zasadnicze stały w dość luźnym stosunku do pracy produkcyjnej; skutkiem tego przeważał u nich często intelektualistyczny, używając terminologji St. Brzozowskiego, stosunek do świata—i w związku z tem powstało zasadnicze niedocenienie zależności pomiędzy tradycją i kulturą narodową, a jej podglebiem, stanowiącem o charakterze danej kultury — typem pracy produkcyjnej narodu. Pojmowanie kultury w oderwaniu od pracy produkcyjnej prowadziło do powierzchownego historyzmu, nastąpiło przeraźliwe spłycenie samej ideologji. W hołdach i zachwytach nad wielkimi wodzami i wielkiemi dziełami genjusza narodu i rasy zapomniano niemal zupełnie o właściwych twórcach historji — o oraczu i o żołnierzu, ludziach produkcji i walki, budowniczych kultury. Zjawisko to dało się zauważyć w Italji faszystowskiej, w Trzeciej Rzeszy nagłębsza próba nawrotu do kultury narodowej, ustawa o zagrodzie dziedzicznej, wracająca w swych założeniach do najstarszych źródeł tradycji ludowej uległa wypaczeniu przez odebranie jej charakteru głębokiej reformy społecznej naskutek zarzucenia niezbędnego dla jej konsekwentnej realizacji planu wielkiej reformy rolnej. Głoszony nawrót do źródeł kultury narodowej nie został więc zrealizowany; zadowolono się połowicznym nawrotem do deklamacji historycznej. Konsekwencją takiego stanowiska jest niemożność zajęcia postawy aktywnej, świadomego budowania nowej kultury, jako dalszego rozwinięcia dorobku dawnych tradycji. Załamanie się wielkiego rozpędu kulturotwórczego, opartego o ścisły związek z produkcją, tak wyraźnego w początkach italskiego faszyzmu pod postacią haseł Marinettiego jest kapitalną ilustracją tego zaniku aktywności. Musiało nastąpić przejście do postawy defenzywnej, postawy obrony kultury dawnej przed burzycielami, w rzeczywistości obrony pewnych drugorzędnych form zewnętrznych, powierzchownego rygoryzmu etycznego i formalizmu kulturalnego. Marinetti w szanownym mundurze akademika królewskiego nie ma w sobie już nic z młodego burzyciela ,,rupieciarni nazywanych muzeami'' — jest żywym symbolem załamania się wielkich potencjonalnych możliwości kulturotwórczych, tkwiących w założeniach nacjonalizmu faszystowskiego. Załamania tego nie można jednak już dziś uważać za ostateczne. Tendencja ustrojowa państw faszystowskich, w szczególności dążność do totalizmu państwowego, do uspołecznienia człowieka i narodu wskazują raczej na chwilowość, epizodyczność zjawiska. Uspołeczniony obywatel społecznego państwa będzie budowniczym nowego ładu gospodarczego — będzie także świadomym budowniczym kultury. Droga do tego ideału jest jednak dość daleka, tak, jak daleką jest droga od dzisiejszego ustroju korporacyjnego faszyzmu do państwa społecznego.

* * *

Mimo wielu sprzecznych sądów i opinji, jakie wywołują przemiany zachodzące w Sowietach, nie da się zaprzeczyć fakt, że w ZSSR istnieje ogromny rozpęd do obalania starych form życia kulturalnego i do stawiania na ich miejsce nowych i oryginalnych. Związanie człowieka w nowych więzach ustroju społecznego, poddanie go ścisłemu zespoleniu z procesem produkcji spowodowało dynamiczny rozwój twórczości kulturalnej; z mitu proletarjusza, zwycięskiego rycerza produkcji zrodził się mit proletarjusza - budowniczego nowej kultury Typ kultury, rodzącej się w Sowietach określa się często mianem kultury socjalistycznej, kultury proletarjackiej, czy częściej jeszcze kultury rewolucji. Mimo to jednak mit budownictwa nowej kultury nie stoi w żadnym bliższym związku z oficjalną ideologją Sowietów, z nauką Marksa.

Ze stanowiska marksowskiego nie może być w istocie mowy o ,,kulturze klasowej'' czy ,,kulturze rewolucji'' w humanistycznym sensie tego słowa — jako o celu dążeń rozwojowych ludzkości. Dążeniem marksizmu jest ustrój bezklasowy, pojęcie proletkultu, jako ,,kultury rewolucji'' jest więc jednoznacznem z pojęciem czegoś tymczasowego i przejściowego; oznacza ono jakąś bliżej nieokreśloną ,,kulturę antraktu''. Sprzeczność pomiędzy ideologją sowieckiego proletkultu, a ortodoksyjnem stanowiskiem marksistów jest dość wyraźna — dostrzegają ją też kierownicy ,,budownictwa kultury'' w ZSSR — należy tem tłumaczyć silny zwrot w ich polityce kulturalnej do wzorów historycznych.

Doktryna nie może jednak złamać ani zmienić życia. Nowe wartości, wniesione przez sowiecki proletkult należy przypisać głównie zmienionemu stosunkowi do produkcji — ścisłemu związkowi, jaki zachodzi pomiędzy ideologją sowieckiego produktywizmu, a proletkultem. Zachodzi tu proces odwrotny, niż w krajach faszystowskich — twórczość kulturalna łączy się z typem pracy wytwórczej — jest jego najwyższym i najdoskonalszym wyrazem. Kultura jest znów zrośnięta ze swem podglebiem — z produkcją. Związek z produkcją, z typem pracy ludzkiej nadaje kulturze sowieckiej wyraźne oblicze narodowe — mimo pozornego zerwania z tradycją historyczną i mimo frazeologji internacjonalnej — możnaby wskazać na wiele przykładów tego zjawiska, zwłaszcza w popularnej u nas belletrystyce sowieckiej — ,,Cichy Don'' Szołochowa — to jeden z najbardziej narodowych tworów współczesnej Europy. Można przewidywać na podstawie dotychczasowych wyników budownictwa kultury w ZSSR, że jego linja rozwojowa potoczy się w kierunku, może najmniej sympatycznym dla ideologów Kominternu — że sprawi im jeszcze niejedną niespodziankę. Pierwotne zerwanie z tradycją historyczną ulega już dzisiaj ewolucji — tematyka historyczna, o zabarwieniu czysto rosyjskiem staje się coraz bardziej ulubioną. Tradycja historyczna wiąże się bowiem ściśle z produktywistycznem stanowiskiem wobec kultury — zespalając w całość kulturę ludową, proletkult, pojęty jako kultura mas pracujących, z kulturą historyczną — dziełem pracy i walki pokoleń poprzednich.

* * *

Ewolucja strukturalna narodów Europy zdąża w kierunku organicznego związania koncepcji ustrojowej państwa z koncepcją społeczeństwa wytwórców. Zdąża do uspołecznienia życia, uspołecznienia człowieka i produkcji. Poza ideałem nowego społeczeństwa wytwórców stoi ideał przebudowy kultury, ideał nowego ładu, opartego o moralne wartości pracy i produkcji. Obrońcom hedonistycznej cywilizacji mieszczańskiej ideał ,,nowej kultury'' wydaje się barbarzyńskim, stąd bunt przeciw ideologji produkcji i powódź nastrojów katastroficznych, wróżących zagładę kultury. Nie ulega wątpliwości, że powstanie państwa uspołecznionego, społeczeństwa wytwórców spowoduje katastrofę cywilizacji użycia, jej obrońcy są już dzisiaj skazani na śmierć historycznego zapomnienia — bo walczą w obronie sztandarów, dawno odartych z wawrzynu bohaterstwa. Nie oznacza ono jednak ,,katastrofy kultury'' — uspołecznienie życia może prowadzić tylko do świadomej **polityki kultury** — łączącej pozytywne zdobycze przeszłości z planowem budowaniem jutra.

,,Dziś hodujemy Achillesów, jutro należy do Homera'' powiedział kiedyś K. H. Rostworowski. Dzisiejszy Achilles, człowiek walki i pracy wyrębuje nowy ustrój, nowy świat — Homer przyszłości złączy zdobycze jego walki z owocami pracy lat dawnych i minionych w wielki epos narodowej kultury pracy i walki.

B. Zubrzycki.

U źródeł czerwonego mesjanizmu

Najstarsza legenda, jaką znamy, mówi o cudownym ptaku Fenixie, spopielającym się w ogniu i z popiołów powstającym nanowo. Jakże wymowny symbol wiary i żywotności ludzkiej! Wszelkie przemiany społeczne zawierają w sobie tę wiarę tem żarliwszą, im okrutniej w ogniach powstającą. Nic więc dziwnego, że zwłaszcza dzisiaj wylatują na naszych oczach najróżniejsze Fenixy.

Prof. Zygmunt Łempicki (Marchołt, nr. 2) słusznie zauważa, że współczesność nawraca do irracjonalnych mitów, nie pozbawionych pierwiastków posłannictwa. Badania socjologiczne potwierdziłyby, że kompleksy mesjanistyczne powstają na podłożu niepokojących przemian. Jednakże niepodobna zaprzeczyć, że w chwilach najbardziej uciążliwych mit mesjanistyczny może mieć jaknajdonioślejsze znaczenie jako moc przetrwania.

W poszukiwaniu nowej formy mesjanizmu nie trzeba sięgać daleko. Bo za taką uznać można rzeczywistość na Wschodzie, patrząc poprzez literaturę sowiecką, poezję zwłaszcza. Zauważmy tylko w jakich warunkach i z jakim nakładem kosztów ludzkich realizuje się ,,budownictwo socjalistyczne'' — wyraża się tu wprost jakaś religja w sensie wiary fanatycznej, że tak będzie najlepiej i najpiękniej. Dawniej wierzono w imperjalizm, w słowianofilstwo, wypowiadające się poprzez symbole sześcioramiennego krzyża, oręża i twórczości Dostojewskiego. Dzisiaj — w sowieto-socjalizm, narastający budową piatiletek. Przyszły oto nowe symbole, ale nawet w tej nowej wierze wypowiada się jeszcze trochę z dawnej.

Na pograniczu dwu epok jakgdyby — daje temu wyraz **Aleksander Błok,** w ostatnich chwilach swej twórczości oscylujący między niebem dawnego idealizmu a surową ziemią rewolucyjną. Oto zaiste dziwny wyraz nowej wiary, wizja mesjanistyczna ze słynnego poematu poety „Dwunastu". — „Idą... idzie ich dwunastu. Na lufach czarne błyski stali, a świat się wokół pali, pali". I dalej: „Przed nimi — z krwawym sztandarem, osłaniany od kul czarem, jasny światłem wszystkich zórz, kryjąc w wianku białych róż krwawienie krzyżowych ran, prowadzi ich — Chrystus Pan".

Wizja taka budzi najsłuszniej zdumienie. Cóż tu robi Chrystus na czele dwunastu krwawych „apostołów" bolszewizmu? Zbawia świat. Ale cóż to za specyficzny mesjanizm, w których łączą się tak odmienne, uosobione w symbolach Chrystusa i dwunastu „bolszewików" — idee?

By to zrozumieć, należałoby przewertować historję inteligencji rosyjskiej ostatnich lat. Aleksander Błok wyraża ją najcharakterystyczniej. Piewca „Cudownej Damy" uchodzi słusznie za poetę o największem nasileniu estetycznem — na przestrzeni całej literatury rosyjskiej. Jednakże estetyzm ten rychło przepala się w ogniu rewolucji „piątego" roku. Lira Błoka dźwięczy rozpaczą. Dopiero później — w przedburzy wojennej i rewolucyjnej — rodzi się w Błoku odczucie, jeśli nie zrozumienie, problemu społecznego. Z cyklu utworów, który wtedy powstał p. t. Ojczyzna (1907—1916), szczególnie ważne są jako zapowiedź „Dwunastu" — poemat „Na polu Kulikowem" oraz wprost formalny prototyp „Dwunastu" wiersz, zaczynający się od słów: „Dikij wietier stiokła gniat, stawni s pietiol bujno rwiot". Co oznacza ten cykl w twórczości Błoka? Przełom a spotkanie z „duszą narodu". Na tej drodze rodzi się wiara w rewolucję jako rodzaj chrystusowego mesjanizmu, który poprzez ognie i krew ma powołać ludzkość do życia piękniejszego. Stąd dziwna wizja w „Dwunastu". I reprezentatywna.

Bo Błok, stojący na pograniczu dwu epok, chciał te epoki spekulatywnie połączyć. Dążenie takie charakterystycznie jest dla warstw inteligencji, które wyszły z przeszłości i rewolucję uznały, ale uznały jako siłę wyroczną, karzącą i odkupicielską. Stąd Błok wyrasta na czele całego szeregu poetów jako twórca rosyjskiego „kosmiczno-rewolucyjnego mesjanizmu". Wpływ jego jak również stworzonego przezeń genre'u — utrzymywał się dość długo w pierwszych latach Rosji Sowieckiej.

Z chwilą jednak, gdy rewolucja rosyjska zrezygnowała z nastawienia „kosmicznego" i całkiem realnie zlokalizowała się w granicach „jednego kraju" — cichnie patos „Dwunastu". — Nie dwunastu burzycieli, lecz całe zastępy budowniczych zjawiły się oto i stanęły przy warsztatach pracy. Powstaje nowa poezja i proza „neo-realizmu socjalistycznego". Wszakże wiara w posłannictwo nie zamilkła, przybrała tylko bardziej racjonalną wobec otaczającej rzeczywistości postać.

I znowuż wykrywamy tu — na co żaden krytyk nie zwrócił uwagi — związek duchowy z Błokiem, nie autorem „Dwunastu" ale piewcą gospodarczej potęgi przyszłej Rosji.

Jeszcze w r. 1913 Aleksander Błok pisze wiersz pod znamiennym tytułem „Nowa Ameryka". To nowa Rosja. Mesjaszem na terenie rosyjskim tym razem jest praca, konkretnie wydobywany z ziemi węgiel kamienny. „Podziemnyj Miessija!". I Błok woła patetycznie: „nad przyszłą uprzemysłowioną Rosją zapłonie gwiazda nowej Ameryki i wszystkich zbawi"

I to właśnie, co Błok zaledwie przeczuwał i o wiele zasłabo oddał, — przemówiło w poezji rosyjskiej t. zw. proletarjackiej. Że w nowoczesnych olbrzymach przemysłu i techniki, oddanych na usługi zorganizowanego kolektywu, i w pracy samej tkwić może odrodzenie ludzkości.

Tłumy i szeregi maszyn, podziemny żar pieców, zgrzyt naładowanych dźwigów, oddech mocnych kotłów, grzmot wybuchu silników i potęga skrzydeł lotniczych — oto mesjanistyczna pieśń współczesna, pełna triumfalnych akordów stali, dźwięków rozległych i ognia, idąca od ziemi do gwiazd.

Grzegorz Timofiejew.

sztuka

pogrzeb

trzeba było drogo zapłacić za pogrzeb z karawanem
usta trzeba było zamknąć przed księdzem
gdy jan listonosz skonał nad ranem
w domu nie było pieniędzy

wdowa miała spłakaną twarz
i czerwone obrzęki w oczodołach
z za okien dżdżysty marzec
listonosza w skisłą ziemię wołał

nie sposób niemocy się oprzeć
nie sposób oparzelin nie polewać łzami
w taki uroczysty obrzęd
kiedy Jezus nadpływa z chorągwiami

przyszli żałobnicy pod dom
wyszła sama ku drzwiom
stękająca schylona odmienna
listonoszowa brzemienna

poszła sama z niepoczętym sierotą
docmentarną długą piechotą
uciążliwie wlokło się nogom
tą drogą tą drogą

powracała sama przyszła matka
w suchym chrzęście bezbarwnych godzin
zagrodziły jej powrót na rogatkach
matki sytych narodzin

s t a n i s ł a w r o g o w s k i

Z TEATRU WIELKIEGO.

Poranek poetycki Tuwima

Mam wrażenie, że Tuwim układał program lwowskiego recitalu przedewszystkiem z myślą o tych wszystkich, przed któremi bronił się w „Błaganiu": widownię wypełnili rzeczywiście i „ci, co się przysiadają do stolika", i „Wiadomości Literackich abonenci", i ci „co piszą Tuwin a mówią mistrzu". Dlatego widownia, z egzaltowanemi, rozchełstanemi „gomorejkami", które słuchały wierszy z rozdętemi chrapami i wywróconemi białkami, zawieszonemi na suficie — była najprzykrzejszą stroną tuwimowskiego poranku.

Program nie przyniósł rzeczy nowych, ominął nawet z dawnych wierszy **wiele najpiękniejszych,** a dla autora napewno ważnych. Mimo to, wiersze, znane i tyle razy czytane, słyszane raz jeszcze z ust poety urzekały, jak wówczas, kiedy się je poraz pierwszy, w pierwszych zbiorkach łakomie czytało.

Nie będę tu oczywiście omawiał poszczególnych wierszy, zwłaszcza dawnych, znanych i popularnych. Ale zatrzymam się nad jednym. „**S i t o w i e**". Było to gorżkie, niewypowiedzianie piękne, uświadomienie sobie poezji, która raz na zawsze wydziedziczyła poetę ze świata, zabrała mu wszystko, pozbawiła najprostszej, naiwnej, bezpośredniej radości. Odtąd niczego już nie przeżyje bezpośrednio, niczego zwyczajnie nie zobaczy, nie przejdzie bezpiecznie koło źdźbła trawy, ale męczyć się będzie „słów szukając dla żywego świata".

„Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
będę słowa wyrywał w rozpaczy
i sitowia, sitowia **zwyczajnego**
nigdy już **zwyczajnie** nie zobaczę?".

Nie było również w programie wierszy typowych dla dawnego okresu, nazwanych kiedyś przez Ortwina „liryką energetyczną", która na długie lata utrwaliła nam Tuwima w tej zaciekłej, zaczepnej, drapieżnej, a dziś jak się okazuje, nie jedynej jego wobec życia postawie. Była to owa wściekła, nieugaszona, zziajana pasja „wszechobjęcia", zagarnięcia, zapanowania nad wszystkiem, nad całem. Poeta uświadamiał sobie wtedy, jak pewna, jak celna jest broń, którą walczy i dlatego wiedział, że wystarczy jeden cios, jedno pchnięcie ażeby jednym wierszem zapanować nad zalewającym go światem, zdeptać go, pogruchotać, przynajmniej na jakiś czas uwolnić się od niego. I wtedy był napewno szczęśliwszy! Wprawdzie w jednym z niedawnych wierszy raz jeszcze zdawał sobie sprawę z rozkoszy tej walki, tej strzelaniny, kiedy celnie, nieomylnie i pewnie jak pociskiem wali słowami w cel a wszystko inne jest obojętne i nieważne, nawet to co się stanie z wierszem, gdy świat zastygnie słowami w gotowej, zimnej formie („my gwiżdżemy ;my to znaczy — ja i kule!") („Strzelanina"), to jednak — i to nie uspokoiło go, nie zabezpieczyło. świat wczoraj pokonany, dziś wyrasta, wybucha na nowo, groźny, jeszcze groźniejszy, na każdym zakręcie drogi i w każdej rzeczy. I dziś poeta żyje w wiecznym nieustannym lęku, w potwornem przerażeniu, które go znienacka przeszywa, obcego, bezbronnego, na obcej, niepewnej, niesprawdzonej, trudnej ziemi. Kiedy w jednym z wierszy wybucha wściekłą nienawiścią do „strasznych mieszczan, w strasznych mieszkaniach", to kto wie, czy im właśnie skrycie nie zazdrości tej ich ziemi okrągłej, twardej, szczelnej, bezpiecznej, sam na zawsze już z niej wysiedlony, zawieszony w groźnej pustce, w przestrzeni na przestrzał otwartej między znikomemi, złudnemi nicościami.

Jeżeli z dawnego stosunku poety do świata dziś pozostało niewiele, jeżeli mu się odmienił świat i on sam, to nazawsze pozostała niezmienna jego natura, gorąca naskórkowa zmysłowość, radość dotykania, patrzenia, bezpośredniego, zmysłowego przeżycia. Jak dawniej:

„Dotknąć, zobaczyć, wprost chciwie,
powietrza w płuca zaczerpnąć łapczywie!"

Stąd fenomenalna konkretność tych wierszy, prawie okrągłych, twardych, dotykalnych. Gdy poeta czyta wiersz, który się nazywa „Rwanie bzu" — właściwie nie pojmujemy tego wiersza rozumem, czujemy go wprost na skórze, czujemy go w nozdrzach, oddechamy nim.

Język i polszczyzna tych wierszy zniewala wściekłą, brutalną, nonszalancką siłą. Jakaś wręcz djabelska pasja i zdolność deklinowania, odmieniania słów, ważenia ich, rozcierania i mieszania, doprowadza je do granicy, gdzie właściwie wyczerpuje się już ich dźwięk i znaczenie. Nieraz nic już prawie nie znaczą, mięsiste, soczyste, lepkie, wrzące i lodowate, sypkie i kruche; poprostu świecą, pachną, są. — Zresztą sekret tej alchemji poetyckiej poeta wyjawił w wierszu „Eksperyment" odczytanym na wstępie.

Dobrze się stało, że recytacji wierszy Tuwim nie powierzył aktorowi, że czytał sam. Czytał wyraźnie, powoli, dobitnie, spokojnie bez zgrywania się, trochę jak prozę, ale sugestywnie i pięknie.

W. Korabiowski.

Z TEATRU ROZMAITOŚCI.

„Teorja Einsteina"

„Teorja Einsteina" jest sztuką b. ciekawą, pod względem treści: eksperymentalną. Normalnie, sztuki teatralne tak są budowane, że ich rdzeń ideowy, pewne syntezy myślowe, wynikają z akcji danego dramatu czy komedji, są konkretyzowane w formie logicznie usystematyzowanej dopiero przez fachowych lub przygodnych krytyków. W „Teorji Einsteina" jest inaczej. Tu problemem scenicznym jest gotowy już problem naukowy, a tylko jego sceniczne rozprowadzenie, jego teatralizacja była głównem zadaniem autora; i widz teatralny również tem się przedewszystkiem interesował, jak autor znaną powszechnie teorję „uscenicznił". P. Cwojdziński skonstruował tę sztukę b. zręcznie. Potrafił zawiłe dowody naukowe uprzystępnić formą teatralną nawet widzowi nieprzygotowanemu do słuchania wywodów o względności zjawisk fizykalnych. Sposób podania teorji Einsteina był tak przejrzysty, że rozumienie tych koncepcyj nowej fizyki przez służącą (Bohdańska) profesora (Krasnowiecki) czy starą babcię (Wierzejska) był zaledwie trochę tylko groteskowy.

Jest jednak pewna nieuczciwość w tej sztuce, tkwiąca w samym tytule. Mianowicie — rzecz nazywa się „Teorją Einsteina". Tymczasem na scenie, jako źródło konfliktu dramatycznego mamy teorję najnowszych fizyków i matematyków angielskich z Eddingtonem na czele.

Profesor fizyki teoretycznej ma mieć wykład. Dyktuje swą prelekcję maszynistce. Potem, pod jego nieobecność, maszynistka, syn profesora, babcia i t. d. dodają do tego wykładu swoje uwagi (przeprowadzają na tle teorji Einsteina pewne dowody katolicko - teołogiczne). W tej zmienionej formie wykład zostaje następnie wygłoszony przez profesora.

Otóż Eddington, jeden z największych dziś w świecie przyrodników doszedł rzeczywiście, poprzez całą skomplikowaną niesłychanie drogę dociekań naukowych do pewnych koncepcyj teologicznych. Indeterministyczna mikrofizyka współczesna jest rzeczywiście bliższa św. Augustynowi aniżeli Augustowi Comte. Paradoksalność osiągnięć fizyki współczesnej jest naprawdę zadziwiająca. Na przykładzie sztuki p. Cwojdzińskiego widzimy przecież jasno, że teorje naukowe są dziś równie bliskie religji, jak — teatrowi.

Reżyserja p. Dąbrowskiego nadała sztuce koniecznie w tym wypadku tempo „akcji intelektualnej". Profesorski patos Krasnowieckiego był b. na miejscu, — podobnie jak skrzeczącą wulgarność służącej (p. Bohdańska). Niespodzianką była dobroduszność babci (Wierzejska), znanej, jako dobra odtwórczyni typów wulgarnych i krzykliwych. Sprawnie grali: p. Przystawski, Bittnerówna, Składanek i Kossocka.

Zastępca.

Walka o sens moralny

Twórczość pisarska Haliny Górskiej zajmuje w naszej literaturze miejsce odrębne. Wniosła ona z sobą nowe elementy treści, tak nowe i świeże i tak powiedziane, jak dotąd u nas nikt nie mówił i nie pisał. „Najtrudniejsza jest może odkrywać rzeczy dawno już odkryte i uznane, które postawiono w tak zacisznym kąciku muzeum, że nikt już do nich więcej nie zagląda i wszyscy o nich właściwie zapomnieli" — oto chyba przewodnia myśl jej działalności literackiej. I da się ona przeprowadzić przez wszystkie utwory tej autorki — od „Księcia Gotfryda, rycerza gwiazdy wigilijnej", pięknej baśni - legendy, aż do „Drugiej bramy". I dlatego twórczość Haliny Górskiej, to nie pisanie, to nie przenoszenie na papier własnych przeżyć, wrażeń, myśli czy koncepcyj artystycznych, ale ciężki, często aż męczący, nieubłagany trud serca i duszy, ale walka nieustanna z samym sobą i ze światem o własną w nim pozycję, to ciągła z nim konfrontacja, konfrontacja myśli i sumienia, to ciągłe poszukiwanie drogi, nietylko dla siebie, ale także dla wszystkich, z którymi się żyje, z którymi się jest, a którzy napewno tak samo się trudzą, tak samo chcą i takie same mają wątpliwości. Ci wszyscy — to człowiek i ludzie. To cała ludzkość. To świat.

Człowiek ponosi odpowiedzialność nietylko za siebie, za to, jaki on sam jest i będzie, ale także — i to przedewszystkiem — za innych ludzi, za społeczność, w której żyje za to, że świat jest taki, a nie inny. W człowieku żyje i dobro i zło, i człowiek i bestja. Od samego początku jest się w ciągłym konflikcie — między dobrem i złem. I tylko od siły woli człowieka, od jego odwagi i zdolności do poświęceń, od rezygnacji z łatwości ulegania ponętnym pokusom, zależy, czy zwycięży strona dobra. Zwycięstwo dobra jest w zupełności nieosiągalne, ale człowiek **powinien** tak bezwzględnie, bezustannie, będąc w ciągłem pogotowiu, **trudzić się i walczyć,** aby tego zupełnego zwycięstwa być jaknajbliżej, aby być jaknajbliżej doskonałości. I to jest **moralna odpowiedzialność** wobec samego siebie. Bo daleko łatwiej, wygodniej iść drogą zwierzęcia, jakim jest niewątpliwie człowiek, drogą bestji, która w nim zawsze siedzi. Ale jedynie pięknie i szlachetnie jest ją w sobie zwalczać, pokonywać i urabiać w sobie prawdziwe człowieczeństwo. Gdyż **człowiek** jest w istocie **dobry,** to znaczy, że ma wszystkie wewnętrzne, psychiczne dane, aby takim zawsze zostać. Jeśli jest jednak inaczej, jeśli człowiek nie jest dobry, jeśli w nim ma przewagę zło, bestja, która się w każdej chwili może odrodzić, to nie jest tylko winą samego człowieka, ale także, a może nawet właśnie „tylko" — warunków, w których on żyje, warunków społecznych. Jednostka ludzka nie przebywa w odosobnieniu, jej życie jest nierozdzielnie związane z życiem otoczenia, z życiem innych ludzi. To życie społeczne jest już organizacją, jest pewnym układem wzajemnie zwalczających się sił. Podstawą organizacji społecznej są warunki materjalne, ekonomiczne. Jeśli rozdział materjalny między ludźmi jest zbyt wielki, jeśli jedni mają zadużo, a inni nic nie mają — wtedy wyrasta **krzywda społeczna,** wtedy znaczna część społeczeństwa żyje w warunkach, które są niesłuszne i niesprawiedliwe. Ludzie zaś, w takich warunkach żyjący, są materjalnie i społecznie poniżeni, i wiedzą, że są rządzeni przez innych, którzy mają zawiele i którzy beztrosko używają, i wtedy siłą rzeczy budzą się w nich złe instynkty, budzi się w nich nienawiść świata, który ich haniebnie i brutalnie krzywdzi. Jeśli więc w ludziach i między ludźmi istnieje zło, jeśli ono nad wszystkiem panuje, to jest to wina złego ustroju gospodarczego i społecznego. Zmiana tego ustroju na inny, lepszy, sprawiedliwszy jest koniecznością, jedynym nakazem i warunkiem, jeżeli na świecie ma zapanować dobro, prawda i piękno. Ale ten ustrój nie przyjdzie jak deus ex machina. Jeżeli ma on jaknajprędzej zapanować, trzeba o niego bezwzględnie i z całym wysiłkiem walczyć. **Walka o inny ustrój społeczny jest obowiązkiem każdego człowieka.** Tak więc człowiek ponosi nietylko moralną odpowiedzialność za siebie, za to, jakim on sam jest, jakim się ciągle powinien stawać i jakim powinien być, też ponosi **moralną i społeczną odpowiedzialność** za to, w jakim ustroju żyje, za to, że ludzie nie są takimi, jakimi **powinni** być. I przyjęcie tych zasad, ich przestrzeganie i wprowadzanie w czyn, wciąga każdego w poczet rycerstwa, rycerstwa błękitnego. Jest to rycerstwo ducha.

Taką drogą toczy się idea twórcza Haliny Górskiej. I sama idea i droga jej realizacji nie jest łatwa. Słowa są tylko schematami. Należałoby w nie włożyć całą gorącą treść nigdy nieustającego niepokoju, nigdy nie kończących się wątpliwości, a wiecznie gotowej, wiecznie idącej i poszukującej duszy. I pomimo załamań się, pomimo upadków, zawsze się ona odradza, aby walczyć o sens moralny życia, o sens istnienia człowieka i całej ludzkości. Ale nietylko ludzkości — całego świata.

I dlatego książki Haliny Górskiej nie są tylko takiemi sobie opowiadaniami czy powieściami. One są jakby pamiętnikiem autorki — w ciężkim trudzie, w ciężkiej rozterce wypowiada ona wszędzie siebie samą, całą siebie. I dlatego, gdy się je czyta, ciągle ma się przed oczyma żywego, szczerego, a zarazem niecodziennego człowieka. Człowieka, który niesie sztandar i o ten sztandar walczy.

I ten pion psychiczny, po którym idzie autorka wciąż w górę, da się nakreślić od początku jej działalności pisarskiej. Czy to będzie młodzieńcza baśń - legenda średniowieczna „O księciu Gotfrydzie, rycerzu gwiazdy wigilijnej" (Lwów, 1930, Książnica-Atlas), czy zbiór opowiadań ze świetlicy dla dzieci warszawskiego Powiśla „Nad czarną wodą" („Rój", I. wyd. 1931, II. wyd. 1935), który zwrócił uwagę swą niezwykłością nietylko oczy krytyków, ale także — i to najważniejsze — chłonne dusze dzieci i młodzieży całej Polski; czy to będą „Chłopcy z ulic miast" (Warszawa, 1934, Gebethner i Wolff), ci najbliżsi lwowscy batiarzy, prześwietleni przez kryształ serca autorki, czy wreszcie ostatnio „Druga brama" („Rój", 1935), opowiadająca o konflikcie psychicznym i społecznym dwu dziewczynek, Krysi — dziecka burżuazyjno - inteligenckiego i Adeli, dziecka proletarjackiego, — przez wszystkie utwory wypowiada się cała treść wewnętrzna Haliny Górskiej, cała jej prawda dręcząca: walka o sens moralny życia. **Karol Kuryluk.**

Miłość i sprawa

Pisarze wytrawni, wśród tajników swego rzemiosła mają różne sposoby zainteresowania czytelnika trudnemi nieraz bardzo problemami. Anatol France np. często każe w swych książkach jakiejś postaci wygłaszać długie monologi w zawiłej sprawie i równocześnie pomagać kochance w ubieraniu dessous. Podobnie Bernard Shaw w swych sztukach w czasie wygłaszania przez jakąś figurę komedji długiego i nudnego kazania o zbawieniu świata uplasowuje na scenie parę dorodnych niewiast w strojach wielce zdekompletowanych („Zbyt prawdziwe aby było dobre"). Nuda wiejąca z książki czy ze sceny jest przy pomocy tych prymitywnych środków neutralizowana.

Na pierwszy rzut oka możnaby podejrzewać, że Wohnout*) uciekł się w swej książce do podobnego sposobu. W miarę jednak jak wgłębiamy się w tę książkę widzimy, że sytuacja jest tu zupełnie inna. Wohnoutowi nie chodzi o wymachiwanie przed oczyma czytelnika damskiemi reformami, aby go tylko skusić do czytania całej powieści, poruszającej i problemy b. ważne. W powieści tej miłość, problematyka życia erotycznego, jej zasadzki, niebezpieczeństwa i irracjonalne związki z kompleksem spraw bardzo od erotyki dalekich — to istotne, wynikające z przekonań autora elementy budowy powieściowej.

Było już nieraz podkreślane, że debiut autorski Wohnouta jest zadziwiająco dojrzały, pełny. Że na robocie znać rękę wprawnego majstra. Tak jest istotnie. Można autorowi wybaczyć nawet pewne „kadenizowanie".

Trzeba bowiem wiedzieć, że beletrystycznie zrekonstruowana przez Wohnouta epoka jest najtrudniejszą może do opracowania powieściowego; jest to bowiem epoka zaledwie o parę lat od naszej odległa. Wohnout opisuje stosunki w partji socjalistycznej (Kraków) już po roku 1926. — Zarówno bliskość czasowa jak i sam problem, życia wewnętrzno - partyjnego — to trudności, które trzeba było przezwyciężyć.

Czyta się tę książkę z wielkiem zainteresowaniem. Wiemy, że autor zna dobrze teren i sprawy, które opisuje, gdyż sam był dziennikarzem socjalistycznym. Jesteśmy więc ciekawi, jak w oświetleniu tego właśnie człowieka będą wyglądały sprawy i ludzie z okresu najcięższego dla polskich socjalistów. Niema chyba człowieka, ktoby się nie interesował upadkiem tej naprawdę najbardziej szlachetnie pomyślanej organizacji politycznej. Chciałoby się wiedzieć, jakie motory działały w walce dwu tak wrogo do siebie ustosunkowanych organizacyj, operujących tym samym materjałem partyjnym (robotnicy): drugiej i trzeciej Międzynarodówki. Jak się odbywało (jakim kosztem, w jakiej temperaturze psychicznego spalania się)... przechodzenie elementów z jednej strony na drugą. — Na wiele z tych pytań Wohnout daje nam odpowiedź. I czyni to interesująco, choć nieraz niesposób oprzeć się przekonaniu, że pewne zjawiska karygodnie upraszcza. Tak jest np. ze sprawą Reginy. Niewątpliwie — młodzież socjalistyczna jest elementem gorętszym, bardziej prostolinijnym i surowszym od swoich starszych kolegów partyjnych. Choćby dlatego, że jest — młodzieżą. Taktyka partji może się jej niepodobać, jak zresztą zwykle taktyka starych nie podoba się młodym. Jednak momentem decydującym w odwraniu się od stronnictwa Reginy i przejścia do pracy w organizacji komunistycznej nie wolno było autorowi uczynić (i to w formie aluzyj) sprawy czysto prywatnej, erotycznej. Nie wolno tego robić — choć w życiu b. często tego rodzaju historje mają miejsce. Mógł nawet autor niczego nie zmyślać, mógł taką sprawę znać z autopsji, ale przecież w powieści nie umieszcza się wypadku pierwszego z brzegu (dlatego że jest bardziej kolorowy). W powieści obowiązuje prawo eliminacji. Regina występuje u Wohnouta jako reprezentantka niezadowolonej ze starych towarzyszy młodzieży. Jest więc reprezentantką. Nie wolno więc było upraszczać tej postaci w sposób tak łatwy i tak zaciemniający istotne problemy książki.

A. K.

*) Wiesław Wohnout: Miłość i sprawa, wyd. Przeworskiego.

Impresje na tematy filmowe

III. Film zachodnio-europejski

Uogólnianie nie jest najlepszą metodą dla ujmowania pewnych zjawisk w system i wyjaśniania ich, gdyż kryje w sobie niebezpieczeństwo zadaleko posuniętych uproszczeń, i co za tem idzie — skrzywień w stosunku do badanej rzeczywistości. Jakże nieprawdopodobne trudności miałby do pokonania teoretyk, który pokusiłby się o sprowadzenie do dwu lub trzech pojęć materjału tak zróżnicowanego jak produkcja filmowa całego kontynentu, wyrażająca się przez charakter wielu narodowości, niezliczonych jednostek, zmiennych konjunktur. Istnieje tylko jeden sposób, który w tym wypadku zapobiega zagubieniu się w nieobliczalnej wielości zjawisk — z jednej strony, i fałszywym konkluzjom — z drugiej; tym sposobem jest dokonanie wyboru w materjale ilustrującym. Niechaj dewizą tego wyboru będą takie kryterja jak wartość i znamienność, a wówczas już sytuacja ulegnie znacznemu uproszczeniu. Ocena z punktu widzenia wartości artystycznej i charakterystyczności musi wypaść z natury rzeczy subjektywnie i prowadzić może tylko do syntezy subjektywnej, ale na to już się poradzić nie da. Lepsze jest ujmowanie według osobistego kryterjum wartości, niż żadne, a więc pozostawianie zjawisk w rozprószeniu.

Jeśli np. powiem, że film francuski stanowi typ sztuki racjonalistycznej, amerykański zaś (U. S. A.) romantycznej, to na pierwszy rzut oka takie uogólnianie nie będzie niczem więcej jak pozbawioną ściślejszej motywacji impresją na temat, którýby się chciało ujrzeć w takiem świetle Gdy już napomknę o nazwiskach i tytułach — „Koniec świata" Gance'a, „Niech żyje wolność!" Claira, filmy Sternberga z M. Dietrich i Mamouliana „Dr. Jekyll i mr. Hyde" — wówczas już sens linji demarkacyjnej takiego podziału zaczyna się zarysowywać, choć jeszcze można śmiało oprzeć się temu ujęciu, naprowadzając wiele innych nazwisk i tytułów i zacierając przez to jego dowolne zresztą znaczenie. Kiedy jednak w dalszym ciągu uświadomimy sobie, z jaką predylekcją duch gallicki wyraża się zapomocą racjonalistycznego klasycyzmu, jak z drugiej strony amerykańscy anglosasi przesiąknęli pierwiastkiem niemieckiego (import talentów) i hiszpańskiego (meksykańskiego) sentymentu, — wówczas już dojrzymy dopuszczalność takiej syntezy.

Uzupełnijmy ten obraz amerykańską komedją sportową, oraz salonową — francuską i niemiecką, amerykańskim reportażem geograficznym w wielkim stylu, oraz rewją, a więc filmem głównie choreograficznym, nakoniec komedją muzyczną i filmem śpiewaczym, właściwym przedewszystkiem produkcji europejskiej, — a sytuacja będzie prawie pełna.

Na czem polega abstrakcjonizm wspomnianych poprzednio dzieł filmowych tego typu co „Koniec świata", lub „Niech żyje wolność!"?

Aby zdać sobie sprawę z ich charakteru artystycznego, trzeba oddzielnie rozważyć założenia treściowe obydwu, a następnie realizację tych założeń. Otóż w jednym i drugim wypadku mamy do czynienia z możliwie jaknajbardziej ponadindywidualnym układem treści, pozostawiającym jednostce pole tylko do ilustrowania tezy społecznej i filozoficznej. W „Końcu świata" problematem jest zachowanie się ludzkości w obliczu grożącej jej zagłady, a więc gra namiętności, dobywających na wierzch instynkty najgłębiej pogrzebane w psychice człowieka bytującego normalnie. Temat jest, mówiąc symplicystycznie, „nieżyciowy", nierealny, nie podlegający naszemu doświadczeniu, tak że przemienia się w rodzaj teorematu, o ściśle hipotetycznych danych. Biblijne akcenty potęgują jeszcze wrażenie ścierania się sił kosmicznych, wysoko ponad indywidualnościami poszczególnych ludzi. Zaczem konflikt, pozbawiony w zupełności momentów lirycznych, wyklucza reakcję uczuciową w granicach codziennie doświadczalnych. W obliczu kataklizmów elementarnych zacierają się twarze ludzi, z którymi się współczuje, widz o sparaliżowanym sentymencie zaczyna myśleć kategorjami bohaterskiemi i filozoficznemi.

„Niech żyje wolność!" oświetla zagadnienie społeczno - gospodarcze. konfrontuje jednostkę z masową produkcją, i w sensie negatywnym rozwiązuje możliwość uszczęśliwienia ludzkości standaryzacją życia. Problemat jest znowu ponadindywidualny, choć w przeprowadzeniu nosi pozory zajmowania się sprawami pewnych indywiduów. Jest to jednak złudzenie, i tu bowiem mamy do czynienia tylko z symbolami, nośnikami pewnych cech, wyosobnionych i ujętych jako takie a takie postacie. Już uproszczony sposób ich reakcyj psychicznych oraz wymowa tła dekoracyjnego, pozbawionego ściśle cech przypadkowych, nie pozwala nam wątpić, że przyglądamy się grze symboli.

Przeprowadzenie wątku w obu wypadkach, choć w sposób odmienny, pozostaje na usługach naczelnej idei dzieł. „Koniec świata" jest pasmem impresjonistycznie pochwyconych scen, dosadnych a nawet przesadnych w swym wyrazie lokalnym, luźnie ilustrujących ciągłość zdarzeń, z których składa się t. zw. fabuła. Montaż, niezwykłość oświetleń i perspektyw, cieniowanie znamiennym sensem pewnych zdarzeń — składają się na całość intelektualistyczną aż do oschłości, częściowo przerysowaną w zamierzonym wyrazie. Z pewną korekturą na korzyść strony lirycznej filmu, powyższe uwagi możnaby zastosować także do „Dawida Goldera" i kilku innych celniejszych dzieł produkcji francuskiej.

„Niech żyje wolność!" operuje zamierzonym prymitywem, naiwizowaną groteską, obrazem syntetycznym i uproszczonym. Wrażenie tej geometrycznej wykresowości podtrzymuje tło architektoniczne, sprowadzające człowieka niemal wyłącznie do rysów na usługach pewnego sensu. Jeśli przypomnimy sobie przemówienie propagandowe czarnego „delegata" w cylindrze na dziedzińcu fabrycznym, potem wianie banknotów, i zrytmizowane pościgi, to owe sytuacje nieodparcie przyzywają już na pamięć teatr marjonetek. Sceny między przyjaciółmi, a w szczególności rozpoznanie po latach rozłąki, nasycone dojmującym liryzmem, — jak z jednej strony kontrastują z syntetycznym charakterem akcji, tak z drugiej — stanowią jak gdyby węzły zwrotne, pozwalające na dalszą nieobojętną parcepcję treści, zabarwionej już uczuciowo na owych znamiennych przełomach.

Z naprowadzonych tu przyczyn. bez obawy popełnienia znaczniejszego błędu, można uznać film francuski za typ sztuki o znamionach intelektualnych. Choć ten sam Clair w innych swoich filmach „naturalizuje" się w kierunku folkloru, a wszystko co on i jemu pokrewni stworzyli — tonie dopiero w powodzi odmiennych gatunków, to jednak za charakterystyczne dla owej produkcji uważam nie to, że **jedynie** takie filmy miałoby się tworzyć, lecz — że **tylko** we Francji **także** takie filmy się tworzy.

Marjan Promiński.

Z muzycznych zagadnień radjofonji. Muzykalnego speakera!

Wydawało się jeszcze niedawno, że muzyka, ta najwyższa, ponoś, ze sztuk, głębiej, niż inne, w duszę człowieka sięgająca, uszlachetniejąca, oczyszczająca jednostkę, bratająca narody, prowadząca do wolnego człowieczeństwa, — w wieku radja łatwiej, niż kiedykolwiek, spełni swą szczytną misję. Wszak głos radja, tego współczesnego apostoła pójdzie pod strzechy, do maluczkich, przyniesie im, spragnionym bezcenny napój piękna i wiedzy z krynicy ducha ludzkiego, zamieni świat chyba w raj! — mówili entuzjaści.

Tymczasem sprawy wzięły zgoła inny obrót. Zapomniano w zapale entuzjazmu o tem, że dzieło sztuki zrozumie tylko ten, kto zna jego język, nie pamiętano, że musi się słuchacza wpierw nauczyć tego języka, nie znaleziono dla tej nauki metody, dostosowanej do nowych socjologicznych i psychologicznych warunków słuchacza: apostoł chciał nawracać prostaczków — po łacinie. Nic dziwnego, że rychło zrezygnował z misji i stał się kapłanem tandety, tylko z obowiązku tolerując prawdziwą sztukę. I stoimy dziś przed faktem, że muzyka, po której, z racji specyficznych warunków radja, najwięcej się spodziewano, jest dla radja bodaj najtwardszym orzechem do zgryzienia.

Nie znaleziono dotąd nigdzie klucza do rozwiązania tego problemu. którego trudność wywołana jest może głównie przez to, że nie zdecydowano się oprzeć pracy na socjologji, nie zajęto się z wystarczającą troskliwością, z pełnem poczuciem odpowiedzialności, — **nowym słuchaczem.** A przecie radjo jest przedewszystkiem dla niego; dawnemu słuchaczowi pozostała sala koncertowa, której radjo, przynajmniej jak dotąd, nie zastąpi. O nowym więc słuchaczu będzie musiał zawsze pamiętać zarówno twórca muzyki radjowej, jako specyficznego gatunku, dostosowanego do nowych warunków technicznych i do psychologji nowego odbiorcy, — jak przyszły radjowy wychowawca muzyczny, którego czeka najtrudniejsza, zapewne, ale też najwdzięczniejsza może praca. Droga dla tej pracy nietylko nie jest jeszcze wytyczona, ale nawet nie znamy kierunku, w którym będzie przebiegać. Znalezienie jej zależy w głównej mierze od uświadomienia sobie i jasnego określenia celu, do którego ma prowadzić. Dzisiejsze stadjum radjofonji jest niewątpliwie jeszcze okresem ząbkowania; miejmy nadzieję, że zamiana apostoła kultury w — kupca jest tylko przejściowa. Ta polityka ciągle jeszcze bezradnej radjofonji, tłumacząca się dążeniem do nawiązania kontaktu z odbiorcą, a nieznajomością innej ku temu drogi, jest wprawdzie bardzo krótkowzroczna, jeśli idzie o jej wartość społeczną i rezultaty; nie wolno jednak załamywać rąk w rozpaczy, jak długo nie zaprzestano w światowej radjofonji poszukiwań, choćby okupionych wielokrotnem błądzeniem po manowcach.

Nie ulega jednak wątpliwości, że przed znalezieniem właściwej drogi, pozytywnych metod pracy, musi się wpierw wytępić szkodnictwo dyletanckiego słowa o muzyce; w przeciwnym bowiem razie najlepsze nawet podejście do trudnego zagadnienia skazane będzie z góry na niepowodzenie. Zajmijmy się dziś groźnym szkodnikiem mówiącym: speakerem. (O omówienie celów i zadań prelegenta muzycznego, o szukanie wytycznych dla jego pracy pokusi się następny artykuł). Aby zdać sobie sprawę z roli speakera, z jego odpowiedzialności wobec kultury muzycznej, należy sobie uzmysłowić, czem jest zapowiedź programu: poprawna zapowiedź przygotowuje słuchacza na określone dzieło, a więc na momenty stylu pewnej epoki, szkoły, narodowości, indywidualności, oraz na styl zapowiedzianego dzieła. Zapowiedź fałszywa w odniesieniu do nazwiska twórcy, lub do tytułu i formy dzieła, kieruje nastawienie słuchacza-laika na błędne tory i stwarza w jego umyśle fałszywy obraz o kompozytorze i o jego dziele; a jeśli na dobitkę, zapowiedzi tego samego, lub takiego samego utworu, kilkakrotnie wykonywanego, znacznie, nieraz zasadniczo się między sobą różnią, — nieuniknionem następstwem staje się zupełna dezorjentacja „szarego człowieka", i, co za tem idzie, jego niechęć do wartościowej muzyki. Cóż dopiero mówić o wyłączeniu mikrofonu **podczas** wykonywania dzieła i oświadczeniu spakera, że utwór się skończył! (W ten sposób przerwano w transmisji poranku szkolnego z Warszawy koncert skrzypcowy Beethovena na kwart-sekstowym akordzie przed kadencją!).

Przykładów szkodliwej działalności speakera nie brak zarówno u nas. jak i zagranicą. Mam wrażenie, że pilne rejestrowanie zapowiedzi pozwoliłoby wybrać niejeden wdzięczny temat dla — którejś „wesołej fali". Bo przypomnijmy sobie n. p. transmisję z Lipska: speaker niemiecki jest tak dalece nieuświadomiony muzycznie i lingwistycznie, że uważa określenie „attacca" (oznaczające, jak wiadomo, przejście bez pauzy z jednej części utworu do drugiej), za nazwę części dzieła, i zapowiada w koncercie Bacha na 4 cembali — cztery zamiast trzech części, wśród nich jedną o nazwie „attacca"! Ale zapowiedź polska z Lipska nietylko wiernie to tłumaczy, lecz „wzbogaca" jeszcze słownik polskiej instrumentologji o wspaniały termin „cymbałki" na określenie instrumentu „cembalo". Albo inny przykład: nieraz już wykonywano w radjo fugę, którą speaker określał jej nazwą. Pilny słuchacz mógł zwrócić uwagę na imitacyjne wstępowanie głosów, jako na najbardziej charakterystyczną cechę tej formy. Aż tu, pewnego razu zapowiada speaker jakieś zagadkowe „melodje religijne" Bacha, które okazują się — fugą! Co ma teraz sądzić słuchacz? Czy „melodja religijna" jest synonimem fugi? A może „melodja religijna" jest jakimś szczególnym wypadkiem fugi?!

Mniej lub więcej istotnych przekręcań nazwisk zanotowaćby można sporo (nie mówiąc, oczywiście, o niewinnych „lapsusach", które należy jednak zawsze korygować, aby nie wprowadzać w błąd słuchacza) Skandalem jest uczynić największego kompozytora Anglji, Purcell'a (17. wiek) — Włochem o nazwisku: Purcelli („Purczelli")!

Dalsze wyliczanie takich „kwiatków" jest zbędne; tych kilka wystarczy, aby zdać sobie sprawę z odpowiedzialności, która ciąży na speakerze i uznać potrzebę muzykalnego speakera za bardzo piekącą. Uważam, że bolączkę tę należy wyleczyć jeszcze przed przystąpieniem do planowej pracy nad nowym słuchaczem, jeśli nie ma ona wiecznie jątrzeć, utrudniając osiągnięcie rezultatów, nawet wówczas, gdyby udało się znaleźć jakieś idealne rozwiązanie problemu nowego słuchacza.

Speaker musi mieć przynajmniej tyle muzykalności, aby wyczuć koniec utworu, musi posiadać podstawowe wiadomości z historji muzyki, teorji, form. Obowiązkiem speakera jest przygotowywać się codziennie do swej odpowiedzialnej pracy; leksykon muzyczny powinien należeć do urządzenia „speakerni"! Dyletantyzm, wszelkie „improwizacje", bezplanowe, dorywcze poczynania są tu, jak na każdym odcinku pracy radjowej, najgroźniejszem niebezpieczeństwem.

Jerzy Freiheiter.

Z SALI KONCERTOWEJ.

XIV. Koncert Filharmonji.

Dyrygent: Neumark — Solista: Drzewiecki

Lwów nie zapomina i umie cenić zasługi kulturalne. Kilku tylko występami sprawił Neumark, że każdy dziś już wie, co muzykalny Lwów temu dyrygentowi zawdzięcza .Cudowne rezultaty, jakie osiągnął u nas Neumark, tłumaczą się tem, że indywidualność tego kapelmistrza jest połączeniem sugestywnego pedagoga o zdumiewającej intuicji, z muzykiem „pełnej krwi", artystą, który każdym fibrem duszy przeżywa wykonywane dzieło. Neumark — pedagog nie jest bynajmniej improwizatorem; każdy szczegół jest precyzyjnie wyszlifowany, na każdą trudność znajduje się na próbach niezawodna rada. Stąd techniczny poziom naszej orkiestry, na który możemy być dumni. Ale równocześnie Neumark - artysta porywa swem ukochaniem sztuki chętnie poddającego się mu wykonawcę i — słuchacza.

Rozkoszą jest słyszeć dzieło klasyka, prowadzone ręką Neumarka. Wyczucie tego stylu, przejawiające się w najdrobniejszych szczegółach instrumentacji, frazowania, akcentów, dynamiki, temp, dało ostatnio wykonanie symfonji Haydna, jakiego Lwów chyba nie pamięta. A jak szlachetnie utrzymał Neumark w karbach stylu klasyka słowiańskie (kroackie) elementy taneczne tej symfonji!

To samo powiedzieć można o VII. symfonji Beethovena, tej „apoteozie tańca", jak Wagner określił to dzieło. Przewagą pierwiastka rytmicznego zajmuje siódma symfonja odrębne miejsce w twórczości Beethovena. Neumark umiał swym umiarem w akcentach i precyzją wykonania cudownie uniknąć niebezpieczeństwa trywialności, grożącego wykonawcy zwłaszcza w ostatniej części dzieła.

Taniec miał być prawdopodobnie wspólnym mianownikiem dzieł wieczoru, i tylko tak da się zrozumieć umieszczenie „Fantazji Polskiej" Paderewskiego między dwoma klasykami. Popełniono jednak błąd, bo rytm nie jest dość silnym pomostem między odległemi o takie przestrzenie stylu — światami. Jaka szkoda, że Drzewiecki, apostoł polskiej muzyki, nie zagrał, zamiast Paderewskiego, koncertu Fr. Lessela, polskiego ucznia Haydna, który niedawno przedstawił w radjo! Jeśli idzie o ocenę gry Drzewieckiego, to można ją określić tylko superlatywami. Jest to artysta, stroniący od pustej wirtuozerji; w Fantazji Polskiej Paderewskiego w takim stopniu brał udział w symfonicznym całokształcie dzieła, że jego uderzenie nabierało nieraz jakiegoś orkiestralnego charakteru.

Koncert był ostatnim, jak się zdaje, akordem w sezonie Filharmonji. Życzyć jej teraz trzeba krótkiej jeno pauzy letniej, która spotęgowałaby tylko napięcie ku początkowemu motywowi przyszłego sezonu.

J. Freiheiter.

Koncert religijny Filharmonji.

Dyrygent: Nowowiejski — Solista: Mossakowski

Na twórczości oratoryjnej Nowowiejskiego silnie zaciążył Wagner, przygniatając wprost kompozytora polskiego ciężarem swego genjusza. Żałować się musi, że w dziele Nowowiejskiego, (który jest wychowankiem regensburskich kompozytorów, nawiązujących do stylu Palestriny, uczniem takich znawców tego złotego wieku muzyki kościelnej, jak Haberl, lub Bellermann), — nie zostawili mistrze epoki a cappella żadnych śladów.

Nowowiejski żyje w świecie „Parsifala", jego muzyka religijna pełną piersią oddycha tą atmosferą. Przejawia się to zarówno w instrumentacji (blacha!), jak też w „parsifalowskiej" harmonice konsonansów, trójdźwięków, (chętnie łączonych tercjowem pokrewieństwem). Z tem wszystkiem jest to muzyka bezwzględnie szczera, zdolna do silnych akcentów dramatycznych.

Kompozytor, który stanął na czele orkiestry, okazał się doświadczonym dyrygentem, z zapałem prowadzącym wykonawców. Cudowny głos Mossakowskiego miał w scenie z „Quo Vadis" wdzięczne pole do ukazania swych wyjątkowych wartości.

KRONIKA MUZYCZNA.

WE LWOWIE:

Polskie Towarzystwo Śpiewackie „Echo-Macierz" we Lwowie, celem uczczenia 50-letniego istnienia Towarzystwa, ogłasza konkurs na chóralne utwory męskie do tekstów polskich o charakterze i formie dostosowanej do powagi koncertu jubileuszowego, na którym mają być wykonane. W konkursie mogą brać udział tylko kompozytorowie i autorowie tekstów narodowości polskiej. Termin nadsyłania utworów upływa 30 czerwca 1935. Nagrody: 400 zł., 200 zł., 100 zł., ponadto cztery pochwalne uznania. Przesyłki z pracami na konkurs adresować należy na ręce prezesa „Echa-Macierzy", kpt. Franciszka Usarza we Lwowie, ul. Wincentego Pola 10.

NASI ZAGRANICĄ:

Walny zjazd Związku Chórów Polskich w Czechosłowacji odbył się w Czeskim Cieszynie przy udziale przeszło 100 delegatów. Po referacie na temat zadań organizacyjnych Związku złożyli delegaci poszczególnych okręgów sprawozdania, świadczące o imponującej sile organizacyjnej Związku, oraz o doniosłej roli, jaką odgrywają w życiu społecznem i narodowem ludności polskiej w Czechosłowacji. Zjazd rozpatrywał sprawę udziału Związku w zjeździe chórów w Katowicach, oraz w światowym zjeździe polskich chórów, który odbędzie się w r. 1936 w Warszawie. Związek wydaje swój kwartalnik „Echo".

NEKROLOGI:

Michał Ippolitow-Iwanow, wybitny kompozytor rosyjski, dyrygent opery moskiewskiej, zmarł w Moskwie. W listopadzie 1934 r. obchodził on 75-lecie swych urodzin, i otrzymał za wydajną i obfitą pracę na polu muzyki wysokie odznaczenie od Centralnego Komitetu Z. S. R. R.

Jubileusz lwowskiego humoru radjowego

Przyznam się otwarcie, że do napisania fejletonu o „wesołej lwowskiej fali" nie skłonił mnie, ani regjonalny szowinizm, ani względy na obowiązujące jubileuszowe komplementy, ani nawet ochota do obliczania „wkładu" „wyczynów" i innych „dorobków" jakie niewątpliwie radjo prowincji lwowskiej wniosło do rozwoju ogólnej radjofonji polskiej. Sprowokowała mnie pewna specyficzna przekora: nęci mnie mianowicie myśl, ażeby w ramach tego artykuliku omówić bezstronnie i objektywnie rzecz, o której szanującemu się snobowi nie wypada mówić inaczej jak z pobłażliwym, kwestjonującym uśmiechem, i którą tanim a efektownym kosztem można zawsze zjechać jako bzdurę i „wygłupianie się". Nie chodzi mi nawet w tej chwili o humor „wesołej fali", ale wogóle o gatunek lekkiego wesołego utworu, o skecz, o jednodniowy przebój, o kuplet, o piosenkę. Trzebaby mieć jakąś uczciwą miarę do mierzenia tego typu literatury, która przecież codziennie stanowi połowę naszego pokarmu, w komedji filmowej, w teatrze, w rewji, w audycji radjowej, zwłaszcza, że gatunek ten jest już dziś coraz bardziej specjalny, coraz bardziej — artystyczny. Teksty dla Ordonki pisał kiedyś Horzyca i Zegadłowicz, Tuwim pisze skecze i piosenki rewjowe. Dlatego na wstępie — uwaga: wesoły monolog rewjowy, dowcip Tuwima, piosenka Hemara, kalambur Paczkowskiego, wierszyk reklamowy Holendera, może być w swoim rodzaju arcydziełem dowcipu, inteligencji i pomysłowości. Kto wie nawet, czy nie trudniej o lekką wesołą, dowcipną, piosenkę kabaretową, anizeli o ciężki ponury artykuł krytyczny. Dlatego jak o każdej innej twórczości ambitnej i o tej można i trzeba mówić poważnie.

„Wesoła fala" jest we Lwowie monopolem humoru radjowego. Jak każdy monopol dostarcza towaru en gros, regularnie i punktualnie. Dlatego towar jest różny. Lepszy i gorszy. Zanim zajmiemy się gatunkiem tego towaru, zacznijmy od rzeczy bezstronnych i objektywnych: od cyfr i dat.

Pierwszą wesołą audycję rozgłośnia lwowska nadała w wieczór sylwestrowy 1930 r. Była to rewja folkloru lwowskiego, odrazu powitana dziesiątkami pochwalnych listów, które nadchodzić zaczęły do rozgłośni programowej lwowskiego radja. Wtedy to właśnie poczta przyniosła list dla kierownictwa programowego szczególnie ważny i miły. Leon Sziller serdecznie gratulował udanej próby i zachęcał do dalszej pracy w tym kierunku. W październiku 1932 r. Lwów nadał t. zw. pierwszą „wesołą niedzielę lwowską". Audycja ta trwała z przerwami siedm godzin, nadawana była co miesiąca na zasięg lokalny, i tylko w fragmentach transmitował ją Kraków, potem Warszawa. „Niedziel" tych było osiem i wyprzedziły one audycję wesołe nowego typu, która pod nazwą „wesołej lwowskiej fali" wchodzi odtąd co tygodnia na stałe do ogólnopolskiego programu radjowego. Twórcą tych audycji, organizatorem, reżyserem i jedynym prawie autorem był Wiktor Budzyński, dziś jeden z nielicznych stuprocentowo radjowych autorów, rasowych ludzi radja. Nie waham się nazwać twórczość radjowa Budzyńskiego zjawiskiem fenomenalnem. Budzyński podjął się wręcz nieprawdopodobnego zadania dostarczenia słuchaczowi co tygodnia wesołej godzinnej audycji; nie wiem, czy która rozgłośnia ma człowieka, któryby potrafił co tygodnia nastarczyć pomysłów i dowcipu, zmontować je w całość radjową, osobiście wyreżyserować przed mikrofonem. Budzyński napisał i zrealizował w lwowskiem radjo sto sześćdziesiąt skeczów, dwieście dziewięćdziesiąt sześć piosenek, osiemnaście wesołych audycji dla dzieci, dwie operetki dla dzieci, pięć komedji muzycznych w ramach „wesołej fali". Już te cyfry są czemś nieprawdopodobnem i zdumiewającem. A teraz gatunek i charakter tych produkcji. W Budzyńskim są niewątpliwie niewyeksploatowane możliwości komedjopisarza. Posiada on niezwykłe poczucie sytuacji komicznej, potrafi z byle zdarzenia, z byle notatki dziennikarskiej wychwycić ziarno komizmu, widzi je odrazu w gotowej ostatecznej, formie radjowej. Oczywiście, ze pośpiech z jakim pracuje stępia niejeden świetny pomysł, który prosi się o korektę czy to w formie utworu scenicznego, czy w nowej zretuszowanej audycji radjowej. W każdym razie w czasie wielomiesięcznej **nieustępliwej pracy** wykluwać się zaczął pewien specyficzny gatunek wesołej audycji radjowej, specyficzny humor radjowy, łatwo dostępny dla olbrzymiej większości słuchaczy, w którym, mimo to dzięki zrozumieniu i umiejętnemu wyzyskaniu momentu społecznego i aktualnych zagadnień chwili przeważać zaczęły, przemycane zrazu, wartości głębsze i trwalsze.

Elementy humoru. Poza dowcipem, aktualną satyrą, dowcipną fabułą, czy dowcipną piosenką, a więc elementami rzecby się chciało pozaradjowemi, komizm tych „fal" polega przedewszystkiem na doskonałem ustawieniu głosowem postaci stale się w tych audycjach powtarzających, występujących przeważnie parami. Więc para doskonale uzupełniająca się, na kontrastach skonstruowana, trampów lwowskich (Szczepko i Tońko), na tej samej zasadzie zbudowana dalsza dwójka typów (Aprikozenkranz i Untenbaum) i wyłaniający się ostatnio duet Radcunia i Profesorka.

Ta jedyna w swoim rodzaju, z tygodnia na tydzień improwizowana komedja del arte, z dziś już legendarnemi typami, które jak kiedyś Arlekiny i Bryghelle, przyjęły się w sposób nieoczekiwany, warta jest jednak troskliwszego omówienia, tu z powodu braku miejsca oczywiście niemożliwego. Faktem jest, że fantastyczne powodzenie humoru Sczepka i Tońka ma jednak swoje uzasadnienie. Jeżeli chodzi o świetne opanowanie słownika gwary lwowskiej, nieporównane operowanie żargonem przedmiejskim, o idealne skupienie w dwu żywych postaciach psychiki i humoru lwowskich peryferyj, djalogi te były jednak czemś skończonem i doskonałem. Zdobyczą fali pozostanie również na zawsze wyzyskanie regjonalnego folkloru, przedmiejskiej piosenki, jedynych w swoim rodzaju autentyków służącowskiej poezji. Celował w tem w „fali" szczególnie Lipczyński, właściciel jedynego w swoim rodzaju nieocenionego skarbu, grubego zeszytu z przeszło stu autentycznemi piosenkami lwowskiemi, spisanemi ręką anonimowej autorki.

Dziś, w chwili setnego jubileuszu „wesołej fali" prezentacja jej dwuletniej pracy przedstawia się okazale i imponująco. Audycja ta nasyciła niewątpliwie zawsze żywą potrzebę humoru radjowego, zdobyła radjosłuchaczy stała się dla setek radjosłuchaczy czemś jedynem, niezastąpionem.

W rozwoju radjofonji polskiej utrwaliła się jako wartość trwała, pożyteczna i pozytywna.

W. K.

Muzyka na lwowskiej antenie.

Minione dwa tygodnie stały w lwowskiej rozgłośni pod znakiem szczególnie wytężonej pracy: po Wielkim Tygodniu, muzycznie zawsze najcenniejszym okresie w radjofonji, nakładającym obowiązki na Lwów, jako pierwsze w Polsce środowisko oratoryjne, nastąpił tydzień „lwowski" z racji 5-lecia naszej rozgłośni.

Przed mikrofonem stanął więc nieoceniony dr. Sołtys na czele wytrawnego chóru P. T. M., orkiestry Filharmonji lw. i dobrze przygotowanych solistów (Jędrzejewska, Hiblówna, Szymonowicz, Maszański). „Cud Chrystusa" Caplet'a interesował szczęśliwem połączeniem współczesnej harmoniki z stylizacją wczesnego średniowiecza. Stąd charakter jakiejś nabożnej ascezy w tej muzyce. Miłem uzupełnieniem wieczoru było „Stabat Mater" Rossini'ego, „operowa" muzyka religijna. Okazało się przytem, że audycje oratoryjne o niewielkim aparacie wykonawczym nie natrafiają w naszem studjo na szczególne trudności pod względem akustyki.

W muzycznej części wieczoru literackiego, poświęconego „Marji" Malczewskiego, wykonano dwa wyjątki z opery „Marja" Mieczysława Sołtysa. Widać było w tej muzyce niezwykle trafne wyczucie smutku i pessymizmu Malczewskiego (chór „Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie", wykonany przez zespół solistów P. T. M. pod kier. Bożyka), oraz stepowych nastrojów w „arji pacholęcia", rozlewnej, o szerokim oddechu (Zarzycka).

Występy Muenzera przed mikrofonem są źródłem głębokich przeżyć artystycznych, a zarazem szkołą gry radjofonicznej. Perlistość radjowej gry Muenzera wynika z ograniczenia pedalizacji do najniezbędniejszego minimum, przy staccatowem prawie wybijaniu tonów w najszybszych nawet biegnikach i pasażach. Bogata skala dynamiki w grze radjowej Muenzera posiada zawsze szlachetne brzmienie; artysta nie przekracza w dynamice granic zakreślonych przez mikrofon, jego fortissimo nie dochodzi do nadmiernego nasilenia, wywołującego brzęczenie, najsubtelniejsze zaś pianissimo, owiane czarem poezji, nie jest jednak wątłe ,lecz zawsze pełne, okrągłe.

Wiolonczelowa znakomitość Lwowa, Danczowski był, jak zawsze, muzycznie i radjofonicznie doskonały.

KRONIKA RADJOWA.

W POLSCE:

Jubileusz lwowskiej rozgłośni. Polskie Radjo uczciło 5-lecie istnienia naszej rozgłośni „tygodniem lwowskim", transmitując w każdym dniu ubiegłego tygodnia conajmniej jedną audycję lwowską na wszystkie stacje. Ponadto wydała warszawska „Antena" „lwowski" numer, a rozgłośnia lwowska — specjalną jednodniówkę.

Kierownik Wydz. Muzycznego w Polskiem Radjo. Dyrekcja P. Radja zatwierdziła, jak podaje „Antena", na stanowisku kierownika Wydziału Muzycznego P. R. Edmunda Rudnickiego, który dotąd pozostawał na tem stanowisku w charakterze p. o. kierownika.

ZAGRANICĄ:

Rozgłośnia im. Masaryka w Czechosłowacji. W miejscowości Banska-Bytryca (Słowacja) stanie nowa rozgłośnia, która ma być ostatnim wyrazem współczesnej techniki. Z okazji 85. rocznicy urodzin Masaryka nazwana będzie jego imieniem.

Pierwszy kinoteatr telewizyjny. „Wireless World" podaje, że w najbliższym czasie będzie wybudowany w Anglji, a mianowicie w Everton Valley (Liverpool) pierwszy kinoteatr telewizyjny.

Kronika kulturalna

Marchołt. Ukazał się trzeci zeszyt wydawanego przez Instytut Literacki pod redakcją Stefana Kołaczkowskiego kwartalnika „Marchołt". Zeszyt zawiera szereg interesujących artykułów: Artura Górskiego, Władysława Tatarkiewicza, Henryka Elzenberga (W sprawie estetyzmu w literaturze), Jerzego Stempkowskiego (Nowe znaczenie samotnego wędrowca), Zygmunta Kisielewskiego, Zofji Ciechanowskiej (Burzenie legendy renesansu), Ludwika Chmaja, Edmunda Romahna i innych. Wacław Parkott ogłosił tu także kilka nieznanych wierszy Eugenjusza Małaczewskiego. Zeszyt uzupełniają przeglądy krytyczne i polemiki, np. o „poezji czystej" Filghera, „Nocach i dniach" Dąbrowskiej, „Balzaku" Boya i inne. Nad całością góruje bliżej nieokreślona, mocno mgławicowa ideologja romantyczno - mistyczna, o silnym podkładzie mesjanistyczno - religijnym i usiłowanie znalezienia wspólnego wyrazu dla katolicyzmu i polskości.

O stosunek do Z. S. R. R. W interesującej dyskusji na temat stosunku do Z. S. R. R., w której zabierała głos w 11 numerze „Wiadomości literackich" znakomita nasza powieściopisarka, Marja Dąbrowska, wyrażając się w sposób rzeczowy i spokojny negatywnie o budownictwie socjalistycznem w Sowietach, nie wierząc w jego przyszłość i przeciwstawiając „rosyjskiej próbie socjalizmu państwowego" spółdzielczość — w dyskusji, w której w „Nowych Czasach" szereg uwag rzucił Bolesław Zubrzycki w artykule „Mówimy dalej o produktywiźmie" („Nowe Czasy", nr. 13), odpowiedział ostatnio Marji Dąbrowskiej T. Świecki w art. „O właściwy stosunek do Z. S. R. R." w 4-tym numerze „Lewego toru". Autor uważa Dąbrowską za charakterystyczną przedstawicielką tej części inteligencji polskiej, która w młodości solidaryzowała się ideowo z socjalizmem, która w współczesnej rzeczywistości nie może znaleźć miejsca, przeciwstawiająca się faszyzmowi, jednak skazana na rolę biernych widzów. Jej ideały są nieokreślone, romantyczno - idealistyczne i indywidualistyczne, tak charakterystyczne dla pokolenia, którego osobowość kształtowała się pod wpływem dwu sprzecznych czynników i marksizmu i młodopolskiego renensansu romantyzmu. O spółdzielczości, którą Dąbrowska uważa jako „jedynie godziwej i jedynie rewolucyjny sposób wyjścia z zamętu dzisiejszych czasów" — autor mówi zdaniem Cole'a: „Ze względu na sam rodzaj swych funkcyj, wysuwał (ruch spółdzielczy) na swe stanowisko kierownicze ludzi, którzy mieli raczej kwalifikacje handlowe, niż zapał ideowy; i dopóki mógł istnieć i rozwijać się w obrębie ustroju kapitalistycznego, skłonny był wyrzec się wszelkich ataków na kapitalizm, mogących narazić jego sytuację. Ruch spółdzielczy nie znajdzie się zapewne nigdy w awangardzie ruchu robotniczego".

W konkluzji T. Świecki dochodzi do takich wniosków:

„Jeżeli się jest socjalistą, nie można nie dostrzegać postępu, czerpiącego soki żywotne z dokonywującej się w Z. S. R. R. zmiany ustroju, postępu, wyrażającego się w rozwiązaniu całego szeregu beznadziejnych w ustroju kapitalistycznym, a tragicznych dla klasy pracującej sprzeczności w życiu ekonomicznem i kulturalnem.

...Obowiązkiem każdego, kto w tę ideę (socjalistyczną) wierzy, jest obraz ten korygować przez podkreślanie bezsprzecznych przewag ustroju Z. S. R. R. nad ustrojami państw burżuazyjnych.

Ale od takiego stanowiska do apoteozy bardzo daleko i takie stanowisko nie wyklucza wcale krytycyzmu w stosunku do bolesnych dla każdego socjalisty odchyleń i błędów w realizowaniu idei socjalistycznej w Z. S. R. R., z których pewne dostrzega słusznie Marja Dąbrowska".

Niewątpliwie — dyskusja nie jest jeszcze wyczerpana i dalsze głosy powinny wnieść wiele interesującego materjału do tego ważnego i bardzo istotnego zagadnienia.

Irzykowski — enfant terrible. Karol Irzykowski oburzył się ostatnio mocno atakami na niego, poirytował się i odpowiedział na nie w numerze 16 „Prosto z mostu". „Jeżeli sam kiedy występuję agresywnie, musi się na to złożyć przez całe lata wiele okoliczności i muszę być bezpośrednio sprowokowany". Taką ostatnią prowokacją był atak Słonimskiego w „Wiadomościach Literackich". Irzykowski też odpowiednio odparował na złośliwe zarzuty Słonimskiego. Dotyczą one jednak raczej prywatnej garderoby obu przeciwników mocno na siebie rozjuszonych — nie są więc dla ogółu zbyt ciekawe. Ciekawsza jest sprawa, którą wysunął Irzykowski, a która winna być przedyskutowana szerzej i wyjaśniona, gdyż obchodzi wszystkich literatów i jest szczególnie dziś zagadnieniem palącem. Chodzi o to, czy pisarz winien zważać na to **gdzie** pisze, w jakim organie, czy też tylko na to, **co** pisze, miejsce zaś wypowiedzi jest mu obojętne. „Denuncjuje mnie (Słonimski) — pisze Irzykowski — przed inteligencją radykalną, donosząc, że napisałem przyczynek do księgi pamiątkowej, która miała wyjść z okazji urodzin Marszałka Piłsudskiego. On wie, że niektórzy głupawi lewicowcy przywiązują wagę tylko do tego, **gdzie** ktoś coś pisze, a nie do tego **co** pisze". Wypowiedziawszy to, Irzykowski uważa rzecz za bezapelacyjnie dla siebie rozstrzygniętą. Daje tem więc przykład i popiera to własnem postępowaniem, że może pisać, gdzie mu się żywnie podoba lub gdzie go zaproszą. Na każde zawołanie jest gotów. Tak więc zapełnia każdy numer endeckiego tygodnika „Prosto z mostu", pisma, którego reakcyjne oblicze jest zupełnie wyraźne. Jego artykuły sąsiadują z ideowemi wypocinami Piaseckiego, bredniami Wasiutyńskiego, Korolca i wielu innych. Irzykowski swoim autorytetem, pisząc w podobnem pismie, daje placet, zgadza się niejako negatywnie, bo powiada, że nic mnie nie obchodzi, co inni piszą, co reprezentuje pismo samo, ale tylko to, co **ja** piszę. Broni się tem, że jest tylko literatem. I w ten sposób rozgrzesza siebie, głaszcze bródkę z zadowoleniem, że jest taki mądry, taki inteligentny, taki klerk. Mógłby to powiedzieć, gdyby Irzykowski pisał tylko wiersze, powieści, dramaty, gdyby mu chodziło o to tylko, aby utwory jego były czytane. Ale przecież on sam reprezentuje pewną postawę **ideową,** myśli, te myśli wypowiada i chce, aby one się przyjęły, siłą rzeczy więc reprezentuje pewną **osobowość społeczną,** usiłuje odegrać pewną rolę w społeczeństwie. W tym wypadku nie zupełnie jest obojętne, gdzie się pisze. Pracując np. w „Prosto z mostu" Irzykowski **moralnie** przyczynia się do rozszerzania, krzewienia tych myśli, idei, które są mu samemu obce i nawet wrogie. Czytelnik, zwabiony głośnem nazwiskiem nie będzie tylko czytał Irzykowskiego, ale zachęcony taką powagą, przestudjuje Wasiutyńskiego czy też Piaseckiego. Jego świat myśli, jego pogląd na świat będzie się kształtował nietylko pod wpływem artykułów Irzykowskiego, ale też bzdurstw i grafomaństw tych innych autorów. **Odpowiedzialność społeczna i moralna** powinna kierować nietylko zasadą, **co** się pisze, ale także zasadą, **gdzie** i **jak** się pisze.

życie społeczne

Związek Związków Zaw. w dniu 1. Maja

Poniżej podajemy zasadnicze hasła Z. Z. Z. opublikowane w związku z dniem 1-ym maja.

Obowiązek klasy pracującej.

W chwili, gdy **załamujący się ustrój kapitalistyczny** całym swym ciężarem przygniata klasę robotniczą;— w chwili, gdy w przymierzu z **bezrobociem,** które prowokuje i pogłębia — kapitał staje do śmiertelnej walki z klasą pracującą, jej zdobyczami i jej dążeniami, walki, **której stawką dla stron obu jest: być albo nie być** — w takiej chwili utworzenie **jednolitego frontu robotniczego** jest nakazem dziejowym, jest obowiązkiem klasy pracującej wobec Państwa, wobec wstępujących w życie — pozbawionych pracy i nadziei —młodych pokoleń, wobec przyszłości, jest wielkiem posłannictwem polskich robotników.

Cele i środki.

Zjednoczyć się musimy **dla walki o wyzwolenie społeczne i równouprawnienie gospodarcze** klasy pracującej: **dla walki z ustrojem kapitalistycznym** i o zastąpienie go przez planową gospodarkę społeczną w upaństwowionych zakładach pracy, gospodarkę prowadzoną pod kontrolą robotniczą; dla walki o pracę, oświatę i dobrobyt; **o niezależność polityczną i gospodarczą Państwa, o mocarstwową, proletarjacką Polskę pracy.** Bronią naszą — nie kartka do głosowania — lecz bezpośrednia akcja zawodowo - ekonomiczna. Środkiem, który na najbliższy okres — jest celem sam w sobie, celem najistotniejszym, to **zjednoczenie całej klasy pracującej.**

Przemocy i bezprawiu kapitalistów przeciwstawić musimy świadomą swych celów, zdyscyplinowaną siłę. **Gwałt kapitalistyczny musi znaleźć bezwzględny odpór.** Precz z lamentami, ze skamleniem, z gięciem się w pas! Ale precz także z demagogicznym frazesem rewolucyjnym, po którym nie następuje czyn!... A czyn nie następuje, bo niema siły, któraby obalić mogła ustrój hańby, nędzy i ciemnoty, a na jego miejsce wprowadzić nowy ład gospodarczy i społeczny, przynoszący masom pracującym wyzwolenie, społeczeństwu — dobrobyt, każdemu człowiekowi — zaspokojenie jego potrzeb materjalnych i duchowych!

Musimy stworzyć tę siłę. Tą siłą jest — jednolity front społeczno-zawodowy całej polskiej klasy pracującej. Tą siłą jest — jedność, braterstwo i złączenie całego polskiego proletarjatu miast i wsi. Tą siłą jest — zdecydowana wola mas pracujących wola nieustępliwej, twardej walki ze złem o lepsze Jutro. Lepsze Jutro — dla wszystkich. Choćby kosztem ofiar, ciężkich ofiar. Tą siła jest — powszechna, jednolita, obejmująca cały ogół robotniczy — potężna organizacja.

Cały proletarjat nie połączy się nigdy na gruncie partyjno-politycznym. Zjednoczyć się może tylko w walce o byt, w akcji społeczno-ekonomicznej, prowadzonej w oparciu o powszechną organizację zawodową.

Nasze hasła — hasłami zbratania wszystkich robotników, scalenia wszystkich organizacyj, połączenia wszystkich grup robotniczych!

W szczególności manifestujemy przeciw łamaniu praw robotniczych i niszczeniu zdobyczy klasy pracującej, czemu możemy się skutecznie przeciwstawić jedynie przez **zjednoczenie całego proletarjatu,** przeciw reakcji gospodarczej i społecznej, której pochód w Polsce możemy powstrzymać tylko jednocząc wszystkie nasze siły; za upaństwowieniem ciężkiego przemysłu; za kontrolą państwową i robotniczą nad całą produkcją i życiem gospodarczem; za wprowadzeniem rad zakładowych; za wielkiemi robotami publicznemi, czego Z.Z.Z. domaga się oddawna, wskazując możliwości ich prowadzenia; za 6-godzinnym dniem pracy, bez zmniejszania zarobków, o co ZZZ walczy od roku 1932; przeciw obniżkom płac; za podwyżką płac wogóle — a na robotach Funduszu Pracy w szczególności; za obowiązkowemi umowami zbiorowemi; przeciw redukcjom.

Praca dla młodocianych i oświata dla dzieci robotniczych jest także naszym naczelnym postulatem.

Hasło naczelne.

Nie osiągniemy jednak niczego, jeżeli nadal będziemy rozbici i skłóceni. Hasłem więc naczelnem w dniu 1-ym Maja: **zjednoczenie i jednolita organizacja — jednolity front całego proletarjatu!** Cały proletarjat brata się w dniu 1-ym Maja na gruncie niezależnego zawodowego ruchu robotniczego, by wypowiedzieć ostateczną walkę ustrojowi kapitalistycznemu.

Niech żyje mocarstwowa, proletarjacka Polska Pracy! Niech żyje zjednoczenie wszystkich robotników!

Przegrupowanie sił pracowniczych do walki z bezrobociem

Jedną z organizacyj, zajmujących się praktycznie problemem rozwiązania bezrobocia wśród licznych rzesz pracowników umysłowych, jest — Instytut Oświaty Pracowniczej. Dyrektor tej ze wszechmiar pożytecznej instytucji, p. Henryk Rygier, przedstawia sytuację na odcinku bezrobocia w sposób następujący:

— Liczba bezrobotnych pracowników umysłowych w Polsce wynosiła w końcu 1933 r. około 170 tys. osób. Zjawisko to jest tem groźniejsze, że z jednej strony bezrobocie pracowników umysłowych zwiększa się stale z roku na rok, a z drugiej stan bezrobocia nie da się wytłumaczyć jedynie wpływem kryzysu. W okresie wysokiej konjunktury, mianowicie w r. 1929, bezrobocie pracowników umysłowych wyrażało się liczbą 63.000 osób. Świadczy to o tem, że kryzys zaostrzył tylko bezrobocie, które wówczas istniało, zwiększając kilkakrotnie liczbę pracowników umysłowych, pozostających bez pracy.

— Wynika z tego, że na 170.000 bezrobotnych pracowników umysłowych, przeszło 60.000 osób pozostaje na stałe bez możności znalezienia pracy nawet w razie przełamania kryzysu i nastania lepszych czasów. Dodać trzeba, że rok rocznie dopływ nowych sił na rynku pracy w postaci kandydatów ze szkół różnego typu, nie znajdujących zatrudnienia, wynosi przeciętnie 10.000 osób. Jest więc zrozumiałe, że bezrobocie wśród pracowników umysłowych nie ma charakteru przejściowego i konjunkturalnego, a więc dającego się usunąć wraz z poprawą sytuacji tego bezrobocia są również inne, głębsze, o charakterze, wynikającym z ustroju społecznego. Wyłania się konieczność przeprowadzenia badań nad przyczyną bezrobocia pracowników umysłowych i środkami zaradczemi. Instytucje, zainteresowane w zmniejszeniu bezrobocia w szeregach pracowników umysłowych, niejednokrotnie próbowały opracować sposoby walki z bezrobociem. Próby te jednak nie dały dostatecznych wyników i stwierdziły, że prace nad ustaleniem planu i sposobu walki z bezrobociem pracowników umysłowych nie dadzą się przeprowadzić bez odpowiedniego gruntownego przygotowania i bez pomocy specjalnego aparatu. Prace te bowiem wymagają ścisłej specjalizacji w tej dziedzinie. Dla tych powodów powołano do życia Instytut Oświaty Pracowniczej, którego głównym celem w obecnym okresie jest walka z bezrobociem pracowników umysłowych.

— Dotychczasowe prace instytutu szły dwiema drogami. Pierwsza miała charakter dorywczy i zmierzała do walki z bezrobociem na małym odcinku, druga dążyła do opracowania możliwie szybkiego sposobu działania, któryby się zastosować do całokształtu zagadnień, związanych z kwestją bezrobocia pracowników umysłowych w Polsce.

Wyrazem pierwszego sposobu walki z bezrobociem było wprowadzenie kursów zawodowych. Celem tych kursów jest przerzucanie, drogą przeszkolenia zawodowego bezrobotnych pracowników umysłowych z tych zawodów i specjalności, dla których niema zapotrzebowania na rynku umysłowej pracy, do innych zawodów, na które istnieje popyt. Kursy, są prowadzone jedne niezależnie od drugich i każdy kurs tworzy zamkniętą całość. Dotychczas zorganizowano kursy dla ubezpieczeniowców, akwizytorów, dekoratorów okien i wnętrz sklepowych, przewodników turystycznych, pracowników biur rachunkowo-powierniczych i dla pracowników administracji samorządowej. Na organizacji samych kursów nie można było poprzestać. Przygotowanie do nowych zawodów, następnie zatrudnienie odpowiednio przygotowanych pracowników, są to dwa kolejne etapy, które tylko razem wzięte, mogą doprowadzić do pożądanych wyników w walce z bezrobociem pracowników umysłowych.

— Instytut udzielał absolwentom kursów całkowitego swego poparcia przy zdobywaniu przez nich pracy. Wyraziło się to w założeniu spółdzielni dla dekoratorów okien i wnętrz oraz przewodników turystycznych, a także spółdzielni dla buchalterów. Ostatnio instytut udzielił poparcia bezrobotnym chemikom w założeniu spółdzielni chemicznej, która wytwarza artykuły, dotychczas u nas nie produkowane, jak również przyczynił się do założenia placówki ogrodniczej, prowadzonej przez inżynierów i techników ogrodniczych.

— Dotychczasowe wyniki akcji przeszkolenia zawodowego dowiodły niezbicie, że na rynku pracy umysłowej istnieje nienasycony popyt na pewne zawody i specjalności i że do tych zawodów należy skierować bezrobotnych. Stwierdzono również, że po przeszkoleniu zawodowem na kursach, dzięki podwyższaniu swoich wartości zawodowych, pracownik znajduje prędzej i łatwiej pracę. Jako przykład może służyć fakt, że słuchacze kursu ubezpieczeniowego, wszyscy bezrobotni zostali po ukończeniu kursu zatrudnieni w najpoważniejszych instytucjach ubezpieczeniowych.

— Akcja przeszkolenia zawodowego wywołała żywy oddźwięk sfer gospodarczych i wobec tego będzie rozwinięta na szeroką skalę. Specjalna komisja studjów zajęła się zbadaniem możliwości zwiększenia stanu zatrudnienia pracowników umysłowych w poszczególnych działach produkcji. Badania te o charakterze tymczasowym pozwoliły na wyprowadzenie kilku charakterystycznych wniosków natury ogólnej.

— Stwierdzono, że polski rynek pracy nasycony jest niejednolicie z wielu powodów. M. in. przyczynami, które się na to składają, wymienić trzeba nierównomierny rozwój poszczególnych gałęzi produkcji i życia społecznego, co w wyniku pociąga za sobą nierównomierne zapotrzebowanie pracowników umysłowych w różnych dziedzinach produkcji. Pczatem do przyczyn tych należy nierównomierne rozsiedlenie terytorjalne pracowników umysłowych oraz masowy napływ do jednych zawodów, w których wytwarza się wskutek tego nadmierna podaż, podczas gdy inne zawody reprezentowane są bardzo słabo lub wcale. Daje się zauważyć u nas brak szeregu specjalności i zawodów istniejących na zachodzie Europy. Z tego powodu na rynku pracy istnieje popyt w szeregu zawodów. Stwierdzenie, w jakich zawodach jest ten popyt, pozwoli na ustalenie, w jakim kierunku należy kierować bezrobotnych pracowników umysłowych.

— Praca ta jest w toku i komisja przygotowała już w porozumieniu z instytutem badania konjunktur gospodarczych i cen, program studjów nad popytem i podażą na rynku pracy umysłowej oraz możliwościami zwiększenia stanu zatrudnienia pracowników umysłowych.

— Tylko w drodze przerzucenia nadmiernej ilości osób z zawodów, w których podaż sił pracowniczych jest wielka do zawodów, w których brak jest pracowników, można walczyć skutecznie z bezrobociem.

III. Zjazd Okręgu Lwow. Legjonu Młodych

W dniu 28 kwietnia obradował we Lwowie III Zjazd Okręgowy Legjonu Młodych, w którym wzięli udział delegaci obwodów z trzech województw południowo-wschodnich: tarnopolskiego, stanisławowskiego i lwowskiego.

Uroczyste otwarcie Zjazdu odbyło się w sali Muzeum Przemysłowego o godz. 10 min. 30. Na uroczyste otwarcie przybyli przedstawiciele Związku Legjonistów w osobach p. p. Prezesa Okręgu Lwowskiego posła Wojciechowskiego i Prezesa Oddziału lwowskiego płk. Pytla, reprezentanci Związku Związków Zawodowych, oraz Instytutu Oświaty Robotniczej im. St. Żeromskiego.

Inauguracyjne przemówienie wygłosił Komendant Okr. Lwowskiego L. M. leg. Chwalibóg, poczem zabrał głos delegat Komendy Głównej red. Kiersnowski Ryszard.

Po przemówieniach zjazd przez aklamację uchwalił następujące rezolucje:

1) Zjazd Lwowskiego Okręgu Legjonu Młodych stwierdza, że Legjon Młodych wystawiony na ciężką próbę stać będzie wytrwale na gruncie ideologji Marszałka Piłsudskiego, uważając wystąpienie senjorów L. M. za fakt, który musi znaleźć ostateczne rozwiązanie w sensie głębokiego zrozumienia między starymi żołnierzami Marszałka, a nami, którzy uważamy się za Jego żołnierzy najmłodszych.

Zjazd stwierdza, że Legjon Młodych pozostał i zawsze pozostanie w Obozie Marszałka, a realną pracą nad konsolidacją całej młodzieży polskiej w nim wykaże, że godnym jest tytułu do którego ma odwagę pretendować.

2) Zjazd Lwowskiego Okręgu L. M. stwierdza, że Lwowski Okręg L. M. wraz z całą organizacją zawsze i wszędzie podkreślał swą zdecydowaną wolę utrzymania powszechności ruchu młodo-legjonowego. Świadectwem tego jest prasa młodo-legjonowa jak również zdecydowane stanowisko zajęte przez wszystkie obwody w sprawie znanego okólnika B. B. W. R. z 5. 10. 1934 r. Zjazd Okręgowy przypomina w szczególności uchwały obwodów akademickich Lwowa stwierdzając łączność pracy na terenie akademickim i wszystkich pozostałych terenach. W pracy dla Państwa nie wycofa się z żadnego z terenów, a więc i z akademickiego. Niemniej przeto kategorycznie stwierdza, że przeszkody czynione w pracy terenowej mogą i muszą odbyć się tylko ujemnie na pracy obwodów akademickich.

3) Zjazd Lwowskiego Okr. L. M. wyraża całkowitą solidarność ze stanowiskiem Komendanta Głównego L. M. inż. Witolda Bielskiego przedstawionem na Radzie Głównej i przez nią zaaprobowanem w sprawie postulatów kierownictwa B. B. W. R.

4) Zjazd lwowskiego Okręgu L. M. stwierdza, że Legjon Młodych na ziemiach południowo-wschodnich, prócz realizowania swych ogólnych wytycznych, ma do spełnienia ważną misję jako organizacja, reprezentująca zdrowy, państwowy pogląd w kwestji ukraińskiej i równocześnie jako awangarda nie defenzywnej, ale ofenzywnej akcji żywiołu polskiego. Pragniemy wszystkie swe siły oddać służbie idei państwowej na kresach wschodnich i w tej naszej pracy mamy prawo oczekiwać, ani przeszkód, ani obojętności, lecz conajmniej zrozumienia i sprawiedliwej oceny wysiłków.

5) Zjazd Lwowskiego Okr. L. M. stwierdza, że Legjon Młodych był i jest nadal ruchem ideowo-wychowawczym, a nie stronnictwem politycznem, uprawiającem aktualną politykę bieżącą.

Po przyjęciu rezolucji uchwalono przez aklamację depesze do Pana Prezydenta Rzplitej, Marszałka Piłsudskiego i gen. Rydza Śmigłego.

Popołudniowe obrady poświęcone były sprawom wewnętrzno-organizacyjnym, omówieniu wniosków poszczególnych komisyj i wyborowi Władz Okręgu.

Komendantem Okręgu Lwowskiego L. M. został wybrany mr. Bronisław Haczewski, zaś Inspektorem Okręgu Józef Kapuściński, obaj przez aklamację.

Na zakończenie zebrani wznieśli szereg okrzyków na cześć P. Prezydenta Rzplitej, Marszałka Piłsudskiego, gen Rydza-Śmigłego, Zw. Legjonistów i jednolitego, niezależnego, powszechnego Legjonu Młodych. Po odśpiewaniu I-szej Brygady pierwsze plenum Zjazdu zostało zamknięte.

Dar Narodowy Trzeciego Maja

Dar Narodowy Trzeciego Maja zbierany w dniu Święta Państwowego, rocznicy wielkiej Konstytucji jest podstawą i głównym fundamentem pracy oświatowej T. S. L. Budujące się domy Ludowe po wsiach, szkoły w osadach polskich oczekują z wykończeniem na zasiłki, udzielane z Daru Narodowego. Bibljoteki wiejskie, bursy, ochronki T. S. L. mogą się utrzymać i służyć polskiej kulturze — jedynie dzięki Darowi Narodowemu. Chociaż sytuacja gospodarcza jest bardzo ciężka, to jednak społeczeństwo w uznaniu konieczności pracy T. S. L. zdobyć się musi na ofiarny wysiłek jej dalszego rozwoju. Niechże zatem popłyną choćby najmniejsze datki od wszystkich. Niech nikt dlatego, że nie może dać wiele, nie zwraca niewypełnionej listy składek. Niech choćby dla moralnego uznania wartości pracy T. S. L. da grosz. — Złóżmy wszyscy choćby najskromniejszą ofiarę na „Dar Narodowy".

T. S. L. zwraca się do wszystkich właścicieli domów z gorącą prośbą, by na dzień 3-go Maja udekorowano jak najpiękniej domy, a mieszkańcy by umieścili w oknach nalepki trzeciomajowe. Niechaj we wszystkich miastach i wioskach nie będzie żadnego domu, żadnej rodziny polskiej, któraby przez udekorowanie okien nalepkami T. S. L., nie zamanifestowała poczucia obywatelskiego wobec Państwa i zrozumienia konieczności ofiary na podniesienie kultury naszego ludu. Centrala zakupu nalepek trzeciomajowych znajduje się w Domu Oświatowym T. S. L. przy ul. Czarnieckiego 1, I. p. telefon 205-90, biuro czynne codziennie od godz. 9—14-tej i od 17 do 20-tej.

OBYWATELE!

Rocznica Wiekopomnej Konstytucji zbiega się prawie z datą ogłoszenia Konstytucji nowej.

Niech więc w tej radosnej chwili posypią się datki na „Dar Narodowy 3-go Maja".

Niech nasze warstwy oświecone przez Swoje skromne datki przyczynią się do jej ogromnej pracy niesienia uświadomienia narodowego i obywatelskiego przez złożenie w dniach 2, 3 i 5 maja do puszki T. S. L. chociażby drobnej kwoty, oraz zakupienie nalepki TSL.

Zebrane w ten sposób pieniądze tworzą corocznie poważny fundusz „Daru Narodowego", który stanowi podstawę pracy T. S. L.

Pamiętajmy, że w myśl nowej Konstytucji każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa, że Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich Obywateli, a jego siła zależy od poziomu oświaty Obywateli.

2.000 placówek oświatowych wzywa pomocy Społeczeństwa! Dajmy więc grosz nasz ofiarny na książkę polską — na Domy Ludowe!

Należenie do T. S. L. i wspieranie materjalne jego celów, to dobrze wypełniony obowiązek obywatelski!

Wyrazem świadomości, że przez powszechną oświatę prowadzi droga do potęgi Państwa, — jest nalepka T. S. L. w dniu 3-go Maja!

Czas wnieść prenumeratę!

REDAKCJA OTWARTA CODZIEŃ OD 12—2
ADMINISTRACJA OD 11—2 I OD 18—19 WIECZ.
Z WYJĄTKIEM NIEDZIEL I ŚWIĄT.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: LWÓW, KOPERNIKA 9, I. P.
TELEFON 33-42 i 90-67. — KONTO CZEKOWE P. K. O. „KADRA" 503.914
PRENUMERATA MIESIĘCZNA 1 ZŁ., ROCZNA 10 ZŁ.

Redaktor odpowiedzialny: dr. Wacław Mejbaum.

Lwowska Drukarnia Nowoczesna — Pasaż Mikolascha. Tel. 16-76